Cena 20 zł

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok III — Warszawa, 6 — 13 kwietnia 1947 r. — Nr 14-15 (71-72)

Treść numeru: L. M. Bartelski, St. Ostrowski, J. B. Ożóg — Poezje, G. Papini — List do teologów, K. Koźniewski — Pan-Europa, czy Pan-Świat, J. Dobraczyński — List z Paryża, Z. Przetakiewicz — ONR — Konfederacja Narodu — „Dziś i Jutro", St. Rembek — Wyrok na Fr. Kłosa, H. Kamieniecka — Poeci grupy „Próg", Z. Jakimiak — Nauka w walce z poglądem na świat?, J. Jasieńczyk — „A msza się odprawia", A. J. Kamiński — Pax Germanica, T. Biedrzycki — Narodziny nowego stylu, M. Jarczyńska — „Noc Huberta", W. Olechowska — O katolikach w Stanach, Czytelnik uważa, że...

* * *

W dniu Święta Zmartwychwstania Pana Naszego Jezusa Chrystusa, w dniu święta radości i tryumfu naszej wiary, składamy sobie życzenia. W czasach przedwojennych mówiliśmy poprostu — „Wesołych Świąt". W okresie wojny życzyliśmy sobie po żołniersku — „spokojnych świąt". Obecnie głębiej rzecz ująć wypada. Prośmy Chrystusa, Który zwyciężył śmierć, aby umożliwił wszystkim Polakom wewnętrzne przezwyciężenie obezwładniających skutków wojny.

Prośmy o wiarę dla wszystkich ludzi w twórczą moc dobra i piękna w życiu społecznym.

Prośmy, aby cierpienie setek tysięcy Polaków, którzy stracili w walce swoich najbliższych, nie oddzielało ich od twórczego życia. Prośmy, aby w ich pracy zmartwychwstały wszystkie zalety i wartości poległych za Polskę.

Prośmy o przezwyciężenie w duszy każdego z nas wewnętrznego rozdarcia, apatii, samoudręczenia, chaosu niezharmonizowanych przeżyć i wrażeń.

Prośmy, aby nie było zagubionych, abyśmy wszyscy jaknajszybciej wkroczyli na drogę dojrzałej służby BOGU i POLSCE...

Bolesław Piasecki

RUCH NIENAZWANY

Przewaga postawy polemicznej, budowanie fragmentów, droga za łatwych syntez — oto braki dorobku myśli spirytualistycznej ostatnich dziesiątków lat.

Nie należy umniejszać ogromnej wartości polemiki. Stanowi ona sposób przestrzegania przeciwników przed niebezpieczeństwami dróg, na które wkroczyli, daje subtelne narzędzie rozróżniania prawdy i fałszu w analizowanych poglądach. Niewątpliwą natomiast słabością postawy polemicznej jest fakt związania autora tematem poruszonym przez oponenta. Tak też było. Spirytualiści najbardziej zasadniczo polemizowali z bezbożnym totalizmem, ale treścią ich wypowiedzi były fakty i poglądy tworzone przez bezbożnych totalistów. Społeczni katolicy polemizują z marksistami, ale jakże trudno jest im wyjść poza problematykę tworzoną przez marksizm. Narzucanie tematu polemiki sprawia, że dyskusja staje się obroną własnych przekonań w punkcie, w którym przeciwnik je atakuje. Dzieje się to z wielką szkodą dla ducha prawdziwej ofensywy.

Gorzej jeszcze bywa, gdy spirytualiści polemizują nie tylko z poglądami przeciwników, ale z samą rzeczywistością. Jest to dziecinnie nieodpowiedzialny lub dostojnie oburzony, ale przede wszystkim bardzo smutny sposób niespostrzegania tego, co nam nieodpowiada. Tej strusiej polemiki z rzeczywistością jest ciągle jeszcze dużo. Zapomina się, że czym innym jest aprobata danej rzeczywistości, a czym innym samo stwierdzenie jej istnienia. Nade wszystko zaś zgubnym jest polemiczny daltonizm, który umożliwia sprowadzenie gigantycznego przełomu w życiu mas większości narodów do problemu taktycznej rozgrywki między kierownikami politycznymi mocarstw.

W okresie dwóch ostatnich wojen myśl spirytualistyczna budowała fragmenty. Trzeba z zadowoleniem stwierdzić, że nie wszystko z twórczości naszego obozu da się sprowadzić do rzędu tylko polemiki. Jest szereg osiągnięć myślowych, które zawierają w sobie motywy nowych rozwiązań, w których są zaklęte przeczucia nowych czasów. Są to jednak tylko fragmenty. Istotnej architektury nowego poglądu na świat nie ma. Całość twórczych osiągnięć przypomina części budowli, porozkładanej na wielkim placu, na którym gmach ma dopiero być stawiany. Rzecz charakterystyczna przy tym, że wykończonych jest już wiele fragmentów — upiększeń tej przyszłej budowli. Mistrzowie francuscy i włoscy, jak Maritain, Bernanos, Bloy, Papini, Rops i inni dużo nam powiedzieli o ustroju, o światłocieniach, jakie będą grały w katedrze naszego przyszłego poglądu na świat. Natomiast same plany, same tworzywo i konstrukcja budynku jest jeszcze ciągle niewyraźna. We współczesnym obozie spirytualistycznym rozplenił się duch jak najbardziej przeciwny architekturze światopoglądowej, duch za łatwej syntezy. Przejawia się on w zbyt krótkim twórczym oddechu. Myśliciel, spostrzegając nową prawdę, zamiast pójść dalej tropem jej konsekwencji, stara się wmontować swe odkrycie w walący się gmach odchodzącego świata.

Dlatego zapoznawszy się z personalizmem mówimy — to tylko tyle? Dlatego przemyśliwując katolicki egzystencjonalizm zapytujemy się, cóż z tego. Twórcy nowych syntez zapominają, że nie chodzi tutaj o dowód ich zdolności intelektualnych, wyrażanych w nowym oryginalnym rozwiązaniu. Konieczność nowego poglądu na świat nie wynika z chęci wzbogacenia historii myśli ludzkiej o jeszcze jedną koncepcję. Potrzeba tej twórczości nie ma w sobie nic z prowokowania jakiejś przeintelektualizowanej, duchowej rozrzutności. Konieczność jest czysto życiowa i historyczna. Trzeba dać wyraz duchowym i materialnym potrzebom mas ludzkich w nowej epoce. Trzeba połączyć przęsłem harmonii współczesną, historyczną prawdę z prawdą wieczną. Dlatego też za łatwe, upraszczające syntezy nic nie załatwiają. Życie naszej epoki jest pełne, gwałtowniejsze niż poprzednio i pełnych wymaga rozwiązań. Nie chodzi tu o porządkowanie schematami zawiłości myślowych współczesnego człowieka. Chodzi natomiast o to, aby twórczość dała człowiekowi sposób życia, dostosowany do jego nieznanych a rozbudzonych potrzeb.

Przewaga polemiki, fragmenty, łatwe syntezy, oto dotychczasowa charakterystyka stanu myśli spirytualistycznej. Największe jednak niebezpieczeństwo tkwi gdzieindziej. Nad całym intelektualnym tłem naszego obozu unoszą się opary propagandy duchowego lenistwa i kwietyzmu.

Czy wogóle potrzebna jest nam twórczość krystalizująca nową epokę? Czy nie słuszniej jest uspokoić się mniemaniem, że nie trzeba szukać nowych rozwiązań, tylko poprostu starą prawdę w życiu porządnie i uczciwie stosować. Mnóstwo jest takich niezachwianych w przekonaniu o swej dojrzałości myślicieli, co z jednej strony kładą katechizm i encykliki papieży, a z drugiej całą twórczość ateistycznych prądów i niepokój współczesnej epoki. Myśliciele ci następnie wykrzykują radośnie — prawda katechizmowa, prawda encyklik przeważa szalę wrogich doktryn i szarpaninę współczesności! A zatem rozładować napięcia twórcze, bo są niepotrzebne, niewygodne i niebezpieczne. A zatem nie szukać w teraźniejszości, nie przeczuwać przyszłości, ale cofnąć się w przeszłość, bo wtedy nie trzeba wyzbywać się wielu rozsądnych i ulubionych przyzwyczajeń. Gorzkie to są słowa, ale chcielibyśmy, by były jeszcze bardziej namiętne i bezwzględne, jak bezwzględnym jest upór i zapamiętała, choć nieświadoma chęć opóźnienia odrodzeńczych przemian w naszym obozie.

Czy my katolicy mamy się ukrywać przed przeciwnikami i potrzebami zbiorowego życia mas za tarczę katechizmu i encyklik papieskich?

Czy dlatego, że prawda Kościoła Katolickiego jest niezmienna, sami mamy pozostać niezmienni w naszej nieudolności walki o opanowanie i zrozumienie współczesnej, powstającej epoki.

Kto nam katolikom świeckim polecił, czy upoważnił nas do rezygnacji z wielkiej twórczości ideowej, a nakazał nam żyć w ahistorycznej postawie sędziego cudzych czynów i cudzych doktryn?

Niewątpliwie prawda, zawarta w Piśmie Św., tradycji, uchwale soboru, czy wystąpieniu Papieża, jako zastępcy Chrystusa, przeważy każdą prawdę ludzką i stanowi dla prawdy ludzkiej, probież ostateczny. Czy nie jest jednak zastanawiające, że zasada ta jest tak samo słuszna teraz, jak była tysiąc lat temu i będzie za następne tysiąc lat; czyż nie jest nam, konkretnym ludziom, żyjącym w konkretnej chwili przełomu epok, niezbędny pogląd na świat, historycznie nowy, scharmonizowany z sensem współczesności? Czy nie jest przewrotnym i opacznym zrozumieniem potęgi prawdy katolickiej, odpowiadać na wszystkie pytania, tworzone przez prądy idących czasów — „nic mnie to nie obchodzi", „mam rację, bo jestem katolikiem, a kościół jest niezmienny".

Wydaje nam się, że sytuacja jest zasadniczo inna. Jesteśmy katolikami i jesteśmy ruchem nienazwanym jeszcze. Jesteśmy katolikami tak, jak byli nimi nasi dziadowie i wszyscy wierni w poprzednich wiekach historii kościoła. Byli oni katolikami, ale żyli w różnych formach społecznych: w gminach chrześcijan pierwszych wieków, w służbie idei świętego cesarstwa rzymskiego, w feodaliźmie, w bractwach i stowarzyszeniach cechowych, wyznawali szkołę augustiańską, wyznawali szkołę tomistyczną. Wszyscy oni, powtarzamy, byli katolikami, ale nazywali się różnie, w zależności od systemu, od poglądu na świat, za pomocą którego w danej epoce historycznej, chcieli potrzeby tej epoki prawdą katolicyzmu przepromienić.

Dlatego my współcześni jesteśmy katolikami, będąc jednocześnie ruchem nienazwanym. Ruchem nienazwanym powiedzmy sobie otwarcie, dla niedostateczności naszej doktryny światopoglądowej, odekwantnej historycznie, dostosowanej do potrzeby epoki. Istnieją nasze studia nad współczesnością, są poszukiwania, stworzono niektóre narzędzia i fragmenty, ale architektury współczesnego, katolickiego poglądu na świat jeszcze nie ma. Dlatego też, jako ogół jesteśmy katolikami bez umiejscowienia w histo-

rii. Nie powiększyliśmy jeszcze bogactwa katolicyzmu, jakie tworzy przełamanie się każdej nowej epoki w wiecznej prawdzie Kościoła. Brak umiejscowienia w historii jest zgubny, jeśli chodzi o wpływ na życie społeczne rodzi on niedorozwój poczucia odpowiedzialności za historię i łatwiznę pokrywania własnej niedołężności autorytetem Kościoła.

Trzeba jak najbardziej zaostrzać wrażliwość odczuwania tego braku. Trzeba budzić twórczy niepokój i rozniecać poszukiwanie współczesnych i nastawionych na przyszłość rozwiązań. Wszelkie zaś stępianie odczucia przymusu lokowania się w historii tworzącej się epoki jest nieodpowiedzialnym szkodnictwem, stanowi utrudnianie przystępu wiecznej religii do dusz współczesnych ludzi. Jest to problem najważniejszy, bardziej doniosły od wszelkiej taktyki. Nie ulega kwestii, że sprawa bierności katolików w ramach obecnej rzeczywitości, czy też dążenie do ich aktywizacji, co jest naszą tezą, ma ogromne znaczenie. Trzeba jednak pamiętać, że mimo wszystko, są to problemy niższego rzędu, że najmądrzejsza nawet taktyka nie osiągnie celu, o ile nie będzie postępować za nią twórcza współczesna ideologia. Idee bowiem porywając i przemieniając ludzi, najbardziej zmieniają faktyczny układ sił. Niewątpliwie rozważania, szczególniej trafne, na temat stosunków między Rosją, Stanami Zjednoczonymi a Anglią, mają doniosłe znaczenie. Niewątpliwie w skali wewnętrznej ustosunkowanie się do PPR'u, PPS'u czy PSL'u jest sprawą ważną. Wszystkie te jednak zagadnienia nie mogą nas zwalniać z wysiłku przeżyć i myśli w pracy nad krystalizowaniem twórczej idei nadchodzącej epoki.

Nie można oprzeć się wrażeniu, że oprócz wymienionych przeszkód czynnikiem opóźniającym ostateczną precyzję naszego nienazwanego jeszcze ruchu jest brak uświadomienia sobie bazy, z której on wynika. Czyje potrzeby reprezentujemy? — to pytanie powinniśmy sobie jak najczęściej zadawać.

Jesteśmy przekonani, że większość działaczy naszego obozu w skali europejskiej odpowiadając impulsywnie na to pytanie, oświadczyłaby: reprezentujemy potrzeby odsuniętych i zagubionych. Odsuniętych przez dezorganizujące skutki wojny, odsuniętych przez zwycięską, a obcą doktrynę przeciwników, zagubionych przez niemożność znalezienia sensu w dokonywujących się przemianach, rozdartych i zmęczonych we wnętrznie utratą dawnego świata bez odnalezienia nowego. Niewątpliwie reprezentujemy potrzeby odsuniętych, ale byłoby fatalnie, gdybyśmy tylko ich potrzeby odczuwali i chcieli je w oderwaniu od prądu nowej epoki zaspokoić. Próżna i stracona byłaby ta praca.

Żyjemy na przełomie dwóch epok Jedną z cech nowej epoki jest jej nastawienie na potrzeby mas. Masy chcą żyć pełnią możliwości, jaką daje człowieczeństwo. Właściwym i jedynie ważnym momentem nobilitacji człowieka jest chwila odczucia przez niego potrzeb wyższego rzędu. Z tą chwilą następuje faktyczny początek awansu społecznego. To właśnie zjawisko nastąpiło w zakresie masowym wśród narodów europejskich, a nawet pozaeuropejskich.

Zjawisko to jest nieodwracalne i stanowi ono podstawową, tętniącą życiem, choć często barbarzyńską siłę współczesności. Każda idea społeczna z tego tylko źródła może czerpać siłę realizacyjną, inaczej uschnie.

Twórczość naszego obozu musi wynikać z potrzeb mas, musi krystalizować doktrynę, która te potrzeby, przy najpełniejszym ich zaspokojeniu, uczyni służebnica mi wiecznej i niezmiennej prawdy katolickiego Kościoła.

Socjalnym podmiotem naszego ruchu mogą być tylko masy. Kluczem do twórczości ideowej dla naszych myślicieli winien być skondensowany, groźny niepokój tych mas, które chcą żyć lepiej niż poprzednie pokolenia i choć nie zawsze mają wiarę w przedstawiane im programy, posiadają nieprzepartą w sile decyzję Decyzję niepowrócenia nigdy do niewoli warunków, w których dotychczas żyły. Trzeba zerwać z inteligenckim poglądem, że potrzeby mas, to potrzeby jedynie prymitywno-materialne. Jest wręcz odwrotnie. Właśnie inteligent traci możność życia, gdy nie ma zapewnionego t. zw. minimum warunków, które XIX wiek wyśrubował tak wysoko. Masy żyją w warunkach twardych, ale w tych właśnie warunkach nastąpiła ich duchowa samonobilitacja, której nikt im nie podarował, którą same wzięły. Trzeba, wyrażając potrzeby mas, być pełnym wiary i zrozumienia dla szlachetności człowieczeństwa

Marksiści wyznaczyli obozowi spirytualistycznemu rolę obrońcy interesów burżuazji. Pogląd ten jest tak mechaniczny, że wątpimy, czy naprawdę oni sami weń wierzą. Tym niemniej stan naszego obozu oceniamy realnie, stwierdzając niedostateczność przygotowania światopoglądowego do walki o nadanie katolickiej treści nowej epoce.

Wydaje się nam poprostu, że myśl obozu spirytualistycznego jest nastawiona w swym twórczym wysiłku na niewłaściwy celownik. Zbyt dużo jawnej, czy ukrytej polemiki z marksistami, zbyt mało twórczości adekwantnej współcześnie, która by im narzuciła temat polemiki z nami. Zbyt dużo oceny rzeczywistości i przeróżnych subtelności diagnostycznych, zbyt mało woli wkorzenienia wyznawanej przez nas wiecznej prawdy w twórczy nurt epoki. Zbyt dużo cytowania historycznych źródeł, a zbyt mało wejścia w siebie, przeżycia historycznej odpowiedzialności za okres, w którym żyjemy A nade wszystko zbyt mało architektury nowego poglądu na świat: katolickiego —przez podporządkowanie wiecznej prawdzie i współczesnego — przez wyrażanie potrzeb i tęsknot duchowych obudzonych do życia mas.

O tę architekturę, jej mistrzów i rzemieślników wołamy. Wołamy o architektów odważnych i śmiałych, architektów tworzących na odpowiedzialność goryczy własnego błędu, zdecydowanych na cierpki smak własnej śmieszności, ale jednocześnie architektów stawiających swoje wizje na realnym gruncie rzeczywistości i przyszłości. Wizje konstrukcji światopoglądowych dla realnych ludzi którzy żyją i rodzą się, aby w nich godnie i z upodobaniem rozwijać się i pracować. Tylko rozpętanie wysiłku twórczego, tylko otoczenie ludzi myślących i czujących atmosferą napiętego wyczekiwania może dać ruchowi naszemu nazwę, pod którą organizując historię narodów, sam do niej przejdzie.

Bolesław Piasecki

UWAGA:

Przyszły, 16-ty numer „Dziś i Jutro“ ukaże się z datą 20 kwietnia 1947 r.

REDAKCJA

POEZJE

J. B. Ożóg

Zima w Radomiu

Śnieg — gmach kina — w progu księżyc
jak słomiana mata —
w oknie poczty kwiatek fuksji, mech i
płomyk lilii.

Śnieg, — dzień biały z chryzantemy w
w sanie się pochyli.

Dal — kolęda — i sikorka — cicha łza
z jabłoni.
Wiatr zawodzi—organista, wiatr, wiatr,—
śpi opłatek.

Jarzębiny na ulicy, bose, przygnębione!...

Za apteką, za remizą, z szyldem „Straż
Pożarna“
przytuliła się pod kożuch wierzb fabryka
gwoździ.

Ryk śrub, syren rzeź — i lamp zielony
drelich —
muska śniegiem twarz wywijas skrzydeł
archanielich.

Noc „kolędę“ z gwiazd za dniówkę zrzuci
z wysokości.

Ej zawiejo z skrzydeł lodu — pod bramy
garbarni!

Wiersz z tomu „Nasza wojna“, który ukaże się w najbliższym czasie nakładem Oddziału Wiejskiego Z. Z. L. P.

Lesław L. Bartelski

ZNAK

I rzekł.: niech stanie się światło! Wybuchło płomieniem twarcym,
fioletem drgało, jak liści splot, spłonęło mocną czerwienią i stygło
w ołów słoneczny pełny potoków i plam. Pioruny tryskały w gwiazdach,
mleczne fontanny — i dym unosił się gęsty.
Słońce przyćmione parą, jak śnieżna kula drgało w obrotach prędkich,
spalając planety i ziemię w wieńcu płomieni żółtych
i wreszcie rozpękło się wpół, jak orzech. Spadły skorupy
i zabłysło różowe i małe jak pięść niemowlęcia,
zwilżone światłem jak rosą. A cząstki w przestrzeni ciekłej
sinej, jak rtęć rozprysły się w szkło ułamkami, mieniąc w miliardach
po drogach próżni i zwałów węglowych pełnych.
I był dzień. Paliły się gwiazdy i księżyc
powielał srebro jak szczupak i tarł skrzelami o chmury.

I rzekł: niech stanie się człowiek. I słowom stało się zadość.
Skruszył się wątły liść. Nie z gliny lub rudy żelaza
kształtu mu nadać, wystarczy przemienić trzcinę,
ożywić patyk wiatrem targany w nadrzecznych łozach,
postawić między wielkością i małym, nieskończonością,
by z pojęć istnienia odtworzyć sens.

I rzekł Bóg:
A ziemia rodzi ciernie, chwasty i osty,
w pocie czoła będziesz ją orał, smutny.
I rodzić będziesz w cierpieniu. Wytrwać
nie łatwo.

A nim przeminie czas próby, synów ginących
dostrzezesz, ostra jest broń i słowa.
Cierpienie niczym w braku nadziei,
a chwila nadejdzie bliska.

Nie pojmiesz, jak łatwo jest przetrwać.
Wiedz: kropla rosy cię zmiażdży, smutny, —
daję ci myśl, jak wskazówkę. To iskra,
która w ciemność powiedzie cię śmiało.
Idź.
P o s z e d ł.

Pragment poematu „PRZECIW ZAGŁADZIE“.

Stanisław Ostrowski

Powrót do Warszawy

Ślepe wagony, czarne wagony,
Domy odległe i bliski front;
Noce wrześniowe, noce szalone —
Pierwszym zarzewiem syczący lont.

Tyle młodości ufnej i jasnej
Przykryje darnią rodzimy niż;
W lasach sosnowych wyrośnie ciasno
Gajem nadziei przy krzyżu krzyż.

Ślepe wagony, czarne wagony,
Do Oświęcimiów powiozą strach;
Albo: na murach plakat czerwony,
Salwa — i jeszcze czerwieńszy plach.

Nie mu na świecie drugiego miasta,
Które by p o t y m wrogom do gardła

(STAROWKA, WOLA, MOKOTÓW,
PASTA) — —

Tak jak Warszawa dumna i hardo!

— — — — — — — — —

Czarne wagony, czarne wagony...
Palce bezmyślnie bębnią po szybach;
Wiesz: szyny wiodą pod dom spalony,
Lecz serca w piersi — nieme jak ryba.

Warszawa, 1945 r.

Giovanni Papini

LIST DO TEOLOGÓW

W październiku 1946 roku nadesłał mi Giovanni Papini książkę p. t. Listy papieża Celestyna VI do ludzi (Lettere agli nomini del Papa Celestino VI). Oczywiście, że postać Celestyna VI jest w tej książce fikcją literacką, którą posługuje się Papini dla wyrażenia swych własnych myśli i poglądów. Inna sprawa, czy sięganie aż tak wysoko może świadczyć o poczuciu umiaru autora i zachowaniu należytych proporcji.

Na zapowiadaną oddawna książkę Papini'ego czekano we Włoszech z dużym zainteresowaniem i wyraźnym niepokojem. Nie wiedziano z czem znowu wystąpi ten płomienny człowiek z Florencji z rozwichrzoną czupryną, piszący raz „Pamiętniki Pana Boga" — to znowu „Dzieje Chrystusa". W książce swej Papini zwraca się do wszystkich ludzi: do biednych i bogatych, do szefów państw i poddanych do chrześcijan i Żydów, do poetów, historyków, uczonych, do wszystkich stanów bez wyjątku — a dodać trzeba — zwraca się w Imię Chrystusa i Jego nauki. Po przeczytaniu mimowoli popadamy w zadumę. Autor wiele rzeczy wyjmuje nam wprost z serca i przedstawia w sposób, na który można się zgodzić, z którym trzebaby polemizować, ale obok którego obojętnie przejść nie można.

Najlepszym omówieniem krytycznym książki Papini'ego obszerny artykuł w rzymskiej La Civittà Cattolica (z 7 grudnia 1946 r.). Autor (D. Mondrone) wysunął w nim szereg zastrzeżeń, wspomniał o olbrzymim zainteresowaniu w świecie (książkę tę tłumaczy się już na szereg języków) tą najnowszą publikacją Papinie'go i krytykę swoją zakończył w sposób wymowny, stawiający w najlepszym świetle wkład Papini'ego do współczesnej myśli katolickiej: „W istocie ta książka może być uważana za gorące i płomienne wyznanie wiary. Ujawnia ona dramatyczny sens chrześcijaństwa. Wiele jej stronic nadaje się do zbawiennego przemyślenia przez wszystkich, a zwłaszcza przez kapłanów. Po zamknięciu książki wyrażenia takie, jak „Cały chrystianizm wienia dla ludzkości" — chrystianizm okaleczony jest chrystianizmem winien być przyjęty przez wszystkich: poza nim nie ma pewnego zbawienia dla ludzkości" — chrystianizm okaleczony jest chrystianizmem zdradzonym" — stają ustawicznie w pamięci" (str. 376).

Papini zwraca się również do teologów. I jeżeli z szeregu rozdziałów książki, ten właśnie przetłumaczono w Rzymie na moją prośbę — to stało się tak nie dlatego, abym Papini'emu WE WSZYSTKIM przyznawał rację, ale raczej, że ZASADNICZO racji odmówić mu nie można.

Ks. Eugeniusz Dąbrowski.

Bracia i synowie moi!

Czy pamiętacie, czym była wasza wiedza w tych wiekach, które już można objąć mianem starożytnych?

Teologia była wówczas królową wszystkich nauk. Nie tylko filozofię uważano za jej służebnicę; podlegała jej wszelka umiejętność, wszystkie sztuki piękne, wynoszące człowieka ponad poziom zwierząt.

Jej pełna suwerenność była jawna i uznana.

Przedmiotem teologii były najgłębsze problemy, jakie tylko umysł ludzki zdolny był wysunąć, dawała poznać Boga, Jego tajemnice, przymioty i sposób działania, pouczała o Stwórcy, o harmonii i pięknie, zawartym w stworzeniu. Słusznie ludzka mądrość podlegała wiedzy o Tym, który Jest.

Skoro tylko Bóg jest Bytem absolutnym, wszystko inne jest cieniem, lub Jego odblaskiem, z Niego się wywodzi, z Niego czerpie istotę, jednoczy się w Nim i rozpromienia.

Teologia wsparta i wzniesiona na potężnych filarach Objawienia, Tradycji i Rozumu, iglicami wieżyc tkwiła w czystym błękicie wiary i poznania, tak jak cudowna katedra, zbudowana z granitowych bloków, spojonych szafirem.—To niepraw da, co bredzą niektórzy, że Teologia jest pasożytniczą pleśnią, żerującą na nieskalanej prostocie Ewangelii.

Nowy Testament ze św. Janem i św. Pawłem zawiera pierwszą natchnioną teologię; w epoce Ojców rozkwitła ona bujną, życiorodną wiosną, zaś Scholastyka w trzech wiekach twórczego rozrostu pozostała latem, najpłodniejszym w dziejach ludzkiej myśli.

Ci, którzy z przekąsem się wyrażają o chwale Scholastyki, uważając ją za gotycką zbrojownię, pełną zardzewiałych pancerzy i nieużytecznych kolubryn, nie wiedzą widocznie, że złoty okres jej spekulatywnego rozmachu i wnikliwych onaliz z żadnym innym nie da się porównać poza bajecznym wprost rozkwitem filozofii greckiej.

Wiecie doskonale, że „myśl nowoczesna" niczym innym nie jest, jak waszą teologią, przerobioną i przetłumaczoną na język metafizyki, świecką trawestacją, a już co najwyżej próbą uwolnienia się od teologii, oderwania od Boga i unicestwienia Go.

Głośne systemy ostatnich wieków są niczym innym w istocie, jak waszą scholastyką przyodzianą w modne szaty, lub scholastyką naopak, przedzierzgniętą w panteizm, albo zwykły ateizm. Nikt nie może się obejść bez mówienia o Bogu, nawet ci, którzy, ogłosiwszy Go nieboszczykiem, wyżywają się w złośliwych nekrologach.

Czemu więc ta boska teologia jest dziś niepopularna?

Czemu ta najwyższa nauka o Bogu jest tak ignorowana nawet przez nieignorantów? Dlaczego skazana na banicję i jak niewolnica przykuta do katedr seminariów duchownych i studiów akademickich? Dlaczego wydają się legendarnymi te czasy, w których rzemieślnicy i kupcy, poważni, kulturalni ludzie i wesoła młodzież, na targach, czy w salonach z pasją dysputowała o problemie wcielenia i o łasce Bożej? Cóż się stało? Czy nie budzi się w was podejrzenie, że właśnie wy ponosicie winę za sromotną obojętność wobec teologii? Zapytajcie waszych sumień i po chrześcijańsku szczerze odpowiedzcie sobie.

Oczywiście odpowiedzialność za ten stan nie spada wyłącznie na was, ale należy wyznać, przede wszystkim na was. Sprawy wielkie nie tyle padały pod ciosami wrogów, ile wskutek niedołęstwa lub zdrady obrońców.

Od wieków aż po dzisiaj jaki czynicie użytek z nadprzyrodzonych dóbr, powierzonych waszej pieczy? Jak mogliście pozwolić, by miejsca wasze w zainteresowaniach współczesnej inteligencji zajęli chwiejni wyznawcy lub zdeklarowani wrogowie Boga? Jest gorzką, bolesną prawdą, że ogień twórczej myśli wygasł między wami. Od czasów św. Tomasza, powiedzmy od Suareza, nie zdobyliście się na nową teologiczną syntezę. Jedynie wielkim herezjom udawało się na krótko poruszyć umysły i serca. Kiedy ster ludzkiej myśli ujęli w swe ręce wrodzy wam filozofowie, stało się, że przeciętny człowiek świecki, jako tako obeznany ze współczesną wiedzą, przestał się oglądać na was, nic go nie obchodzą wszystkie wasze teorie, opinie i dzieła. Kościoły oderwane od jedności z wami, okazują więcej życia niż społeczność nasza. Zarówno na Wschodzie prawosławnym, jak i na protestanckiej północy podejmowano próby teologicznej odnowy, które nawet świeckich wyrywały z drętwoty. W waszym zamkniętym świecie nic nowego nie zaszło. Od setek lat wydeptując tradycyjne drogi, zrujnowaliście je do cna i tak obrzydzili, że pielgrzym nieco śmielszy woli zaryzykować skaliste wertepy lub rzucić się na przełaj w zachwaszczoną głąb lasów. Tyle lat upłynęło, a jeszcze między wami nie pojawił się geniusz, który by wzorem wielkich scholastyków umiał poprowadzić odmiennymi szlakami ku tym samym celom.

Po świętym Tomaszu i św. Anselmie nie umieliście zbudować nowego dowodu na istnienie Boga. Od czasu Duns Scota w tajemnicy Odkupienia nie odkryliście żadnej nowej myśli. Wina odwiecznej prawdy nie zdolniście przelać do zdrowych bukłaków i podać w jasnym kryształe kielichów.

Scholastykę pogrążyła przesada subtelności werbalnych i sofistyczna mania Occamistów. Wy ją składacie i rozkładacie na ponurych marach ślepego uznania. Wy teologowie od wieków nie jesteście niczym więcej, jak zestawiaczami skrótów i wyciągów, twórcami podręczników, registratorami źródeł; ciągle jesteście nudnymi komentatorami, ekshumatorami, przeżuwaczami starych i czcigodnych tekstów. Poczciwi, pilni, obeznani korepetytorzy, tylko korepetytorzy. Nie wiecie, że potrawa wielokrotnie odgrzewana obmierznie nawet niewybrednemu? Że posiłek rozgotowany i znów przegotowany na tym samym sosie w przepalonych garnkach znudzi w końcu podniebienie najbardziej cierpliwe? Każdy wiek ma swój styl i swój język, swe problemy i gusty — wy natomiast zahamowaliście zegar historii na wieku czternastym i nie przestajecie raczyć uległych alumnów przestarzałą zupą. Nie troszczycie się o chrześcijan pozostałych za furtą waszych instytucyj, przywykłych do potrawy smaczniejszej i podanej staranniej. Czyż tamci z ubocza nie powinni być wezwani do wspólnego stołu, zastawionego posiłkiem niezbędnym dla człowieka, posiłkiem boskiej prawdy. Niestety, jeżeli idzie o wiedzę religijną, przeciętny chrześcijanin karmiony bywa często „obtorto collo" tą skąpą i niedostateczną papką, czerpaną z katechizmówki. Oczywiście są tam zawarte fundamentalne prawa i dogmatyczne zasady, ale w formie tak szty wnej i surowej, że umysł niedojrzały ani ich pojąć, ani przyswoić nie zdoła. Te wbijane w pamięć formuły i zdania, zawierające in nuce najwznioślejsze prawdy wiary chrześcijańskiej, wietrzeją z biegiem czasu, a nawet zapamiętane nie są wolne od błędów i zniekształceń. Dzieciom, być może, wystarcza to, co się im podaje, ale skoro podrosną i skrzepną, o wiele więcej mogą sobie przyswoić i pojąć. Dlaczego młodzież dorosła, która z taką chciwością rzuca się na książki z dziedziny historii, filozofii, polityki, pochłania powieści i wiersze liryczne, do książki teologicznej nie czuje pociągu? Czy ten brak apetytu należy tłumaczyć perwersją gustów u współczesnego czytelnika, czy raczej obrzydliwą miernotą mdłych korepetytorów, którymi jesteście jesteście wy? Gdyby wśród was błysnęła gwiazda pierwszej wielkości i wzbiła się nad horyzont, dostrzegliby ją wszyscy i ku niej zdążali. Ale wy jesteście kopcącą łojówką, która z trudem rozprasza mrok ciemnej kaplicy.

Wiekiem zmożone, drzemią dostojne foliały na spróchniałych półkach. wgrzebane w zakurzoną pościel z pergaminów i skór. Rzadko kiedy człowiek świecki zakłóci im sen. Dzieła współczesnych teologów, to są podręczniki kleryckie na użytek domowy, albo suche traktaty szpikowane cytatami, podziałami i definicjami. Znajdziecie w nich wszystko, prócz myśli żywej i ożywiającej. W rezultacie nikt prawie ich nie czyta poza ścisłym i ciasnym kółkiem kościelnych fachowców. Dzieła te są jak potrawy, których się nie kosztuje poza progiem kuchni. Rozpowszechnia się przekłady św. Tomasza, otwierane są kursy teologii dla świeckich; przedsięwzięcia nie zawsze chybione, albowiem niejeden posunął się nareszcie pod potężną fortecę Summy Akwinaty, wytrzeszczył na nią oczy i coś niecoś podsłuchał. Ale nauka o Bogu, jeżeli ma podbić i zdobyć zainteresowania obojętnych i zbałamuconych, czyż może stać nieruchomo na szańcach i palisadach trzynastego wieku? Czyż teologii nie wolno mieć awangardy i być postępową tak, jak inne nauki? Czyż sam św. Tomasz, przez swoich współczesnych nie był ogłoszony rewolucjonistą? Czyż go nie potępiano. nie krytykowano? Spróbujcie porównać św. Augustyna z św. Bonawenturą. Obaj niezłomni i mocni w Chrystusowej wierze i w jedności Rzymu, obaj przyodziani w pełną zbroję wiedzy. obaj jasne duchy szybujące w zachwytach aż po trzecie niebo. A jednak pomimo, że z tych samych źródeł czerpią, ku tym samym szczytom dążą, jakże różna jest ich teologia. Św. Bonawentura wyróżniał Augustyna, zagłębiał się w nim, lecz go nie kopiował. Geniusz z Tagaste był dla geniusza z Bagnoregio natchnieniem do coraz śmielszych lotów. W Piśmie św. zamknięte są złoża cudownych objawień, które trzeba odkryć, odsłonić, ujawnić. U Ojców Kościoła znajdziecie diamenty niepozorne, surowe, które gdy wygładzicie, rozbłysną jak gwiazdy. U scholastyków trafic:e na przedziwne teorie, ukryte i wplątane w gęstwę sylogizmów, gdy je rozwikłacie dogmatyka zyska nowe perspektywy. To nie prawda, że padło już ostatnie słowo, że nie mamy innych zadań, prócz tego, by pozostać rzecznikami umarłych.

Każdy wiek kontynuuje zdobycze przeszłości i dlatego przyjdzie czas, w którym ludzkość ujrzy teologię przyodzianą w splendor bijący z otwartych głębin Objawienia. Wtedy wasza teologia ze swą architekturą wydawać się będzie szkicem powierzchownym. Teologowie jutra oszacują ją podobnie, jak tytani scholastyki ocenili systemy pierwszych Ojców Kościoła. Rodzaj ludzki i społeczność chrześcijańska były wprowadzane w mądrość Bożą stopniowo. Dlaczego mielibyśmy właśnie dzisiaj kres położyć Boskim planom i ludzkim dążeniom? Oczekuję i ufam, że powtórzy się złoty okres waszej świętej nauki. Nowe zachwycenia Świętych, nowe przeczucia poetów, nowe interpretacje doktorów sprawią, że teologia wróci do właściwej roli i jak w on czas zapanuje nad istotnie wolnymi duchami. Jest waszym zadaniem przygotować ten ponowny triumf teologii. Dlatego trzeba się wyzwolić koniecznie, wyrwać z przetartych i zużytych torów, wygodnej tradycji, zaniechać werbalnej formalistyki i zjełczałej pedanterii, od której zalatuje pleśnią i stęchlizną obrzydliwą dla dzisiejszych nozdrzy. Nie mówcie, zaklinam was, że nie zależy wam na świeckich czytelnikach i na gustach światowych. Na was ciąży wszystka odpowiedzialność i za wszystkich ludzi, za tych również, którzy nie wysiadują miejsca w ławach waszej szkoły, za tych, którym są obce tajemnice logiki Arystotelesa i historia dogmatów.

Od czasu do czasu wyjdźcie na otwartą przestrzeń, wysłuchajcie skarg dusz szukających ostoi, nie gardźcie sposobnością nauczenia się czegoś od nieteologów.

Wspomniałem wyżej poetów. Będziecie pełniejszymi teologami, jeżeli nie wzgardzicie przymiotami poetów. Skoro mamy wyruszyć na zdobycie szczytów, to nam już nie wystarczą pętle dialektyki. Obydwa testamenty, źródło i podstawa waszego nauczania, pełne są poezji.

Św. Augustyn był teologiem - poetą tak, jak Dante był poetą-teologiem. Wy, niestety, wzdrygacie się i zżymacie na śmiałość, piękno i muzykę myśli. Jak skandalu wystrzegacie się wdzięku i polotu. Z wyrafinowaną ścisłością techników - mózgowców wznosicie niebotyczne wieże, zamurowując w nich zawzięcie każdą szparę, okienko, przez które możnaby zobaczyć szczyt góry, albo skrawek morza, polny kwiatek lub oblicze dziecka. Rozwodzicie się o Stworzeniu, nie racząc nawet spojrzeć na konkretność stworzenia. Prawicie o misteriach, nie dostrzegając Boskiej tajemnicy, utajonej tak samo w niepozornej jagodzie na przydrożnych cierniach, jak w równie niepozornej gigantycznej galaktyce, rzuconej na kosmiczne przestrzenie wszechświata. Teoretyzujecie na temat człowieka, a nie raczycie zauważyć, jak tuż obok was plączą się dusze zziajane i zafrasowane, którym wystarczyłoby może jedno słowo by was wyprzedziły na drodze ku niebu. Sprawa Boża ma sens tak absolutny, że wasze zastrzeżenia wobec ludzkiej współpracy wydają się pychą.

Nie odtrącajcie pomocy poetów, tych naiwnych Bożych dzieci, które w ewangelicznej prefiguracji Jezus przyzywał do siebie. Pewnie, że poeci niżej stoją od Świętych, za to przewyższają wszystkich doktrynerów.

Summy są warownymi twierdzami intelektu, arcydziełami średniowiecza, epoki światła, a nie mroków. Jednak dziś, skoro chcecie podbić z powrotem umysły, one nie wystarczają.

Społeczności chrześcijańskiej dziś grozi broń inna, inne niepokoje, zasadzki, podstępy. Nie możecie tkwić dalej wśród archaicznych grodów, osądzonych przez

W kraju

WIELKI TYDZIEŃ

WESZLIŚMY w okres Wielkiego Tygodnia. Polacy naogół przywiązani są do obyczaju. To też największy okres w Roku Kościelnym i Święto Zmartwychwstania nie będą prawdopodobnie odbiegać od corocznych uroczystości. Nie to jest jednak najistotniejsze. „Święcone", życzenia, „śmigus" są tylko najbardziej zewnętrzną stroną obchodu pamiątki męki i zmartwychwstania Chrystusa. Istotę tego przedziwnego misterium, jednej z największych tajemnic wiary katolickiej stanowi coś innego. Zmartwychwstanie, to przede wszystkim przypomnienie człowiekowi, że jego cel leży poza doczesnością. Że śmierć istotnie została pokonana. Że ojczyzną duszy jest inny świat, do którego może i musi wrócić. Stąd w naszym rozumieniu najważniejsze jest dopełnienie obowiązku, jaki na każdym katoliku spoczywa — obowiązku Wielkanocnej Spowiedzi. I jeśli obyczaj może być zachowany jak co roku, ten obowiązek musi być dopełniony nieporównanie głębiej, szerzej i lepiej. Tym więcej, że rola nasza we współczesności jest coraz trudniejsza. Tym więcej, że Łaska jest dla nas niezbędna. Tym więcej wreszcie, że wszelkie usiłowania doczesne, prace i posunięcia, bez tej najgłębszej treści, jaką daje Sakrament i związek z Bogiem, są tylko śmieszną paplaniną, za którą kryje się pustka, nędza moralna i rozpacz.

POWÓDŹ

W CHWILI gdy numer ten dojdzie do rąk naszych czytelników szalejąca w wielu okolicach kraju powódź będzie już zapewne opanowana. Prasa codzienna ostatnich dni donosi o stopniowym opadaniu wody. Z mułu wyłaniają się stopniowo resztki zniszczonych osiedli, poprzerywane wały ochronne i zrujnowane szlaki komunikacyjne. Wody wracają do dawnych koryt. Pozostają tysiące ludzi, którzy utracili dach nad głową.

Tym ludziom trzeba pomóc. Warto zaznaczyć, że społeczeństwo niemal natychmiast rozpoczęło tę akcję. Jeden tylko z dzienników stołecznych zebrał na ofiary powodzi w ciągu jednego dnia blisko milion złotych. To dowodzi, że nadwątlone wskutek wojny poczucie więzi społecznej zaczyna się wzmacniać. Państwo przeznaczyło dla powodzian ogromną sumę 100 mil. złotych. Wielu ludzi indywidualnie starało się ulżyć doli wyzutych z mienia. Jeśli ta akcja nie ulegnie zahamowaniu, powiedzieć będzie można, że społeczeństwo spełniło swój obowiązek. Jeśli do tego w ślad za ofiarnością pójdzie intensyfikacja pracy nad odbudową, obowiązek spełniony zostanie bardzo dobrze.

Podkreślić też należy ofiarną i często wręcz bohaterską postawę wojska, które do ostatniej chwili wypełniało swoją powinność. Oddziały saperów, piechoty, lotnictwa i wojsk specjalnych dniem i nocą brały udział w walce z żywiołem i ochroniły zagrożonych. Kilku saperów poniosło w tej walce śmierć. Cześć ich pamięci.

Wreszcie wnioski na przyszłość. Nie stać nas na ciągłe straty. Wołamy o przyśpieszenie prac regulacyjnych rzek i zbiorowisk wód. Wołamy o wzmożenie ochrony lasów, które tak walnie przyczyniają się do regulacji klimatu. Wołamy do Rządu i do społeczeństwa o taki wysiłek nad zagospodarowaniem naszego kraju, by nawet najcięższe warunki przyrodnicze nie mogły zakłócać normalnego życia. „Mądry Polak po szkodzie..

RADA PAŃSTWA

27 MARCA obradowała w Belwederze Rada Państwa pod przewodnictwem prez. Bieruta. Tematem obrad była przede wszystkim sprawa zmiany organizacji i zakresu działania ministerstw: Przemysłu, Żeglugi i Aprowizacji. Zostały nakreślone nowe kompetencje, przy czym ciężar przesunął się w kierunku Ministerstwa Przemysłu, które wchłonęło resorty handlowe Min. Aprowizacji i Min. Żeglugi. Trudno wyrokować, czy jest to posunięcie słuszne, czy nie. Ostatecznie to niemal obojętne, gdzie będą decydowane zagadnienia wymiany towarowej. Wydaje się, że nowa organizacja bardziej centralizuje życie gospodarcze, a raczej jego ośrodek decyzji, co powinno umożliwić kontynuowanie rozpoczętych oszczędności w aparacie administracyjnym. Z naszego jednak punktu widzenia pełne rozwiązanie sprawy powstać może po zlikwidowaniu zbędnego aparatu. Ministerstw jest zbyt dużo. Może specjalnie na dziedzinie gospodarczej. I dlatego liczymy, że w ślad za ograniczeniem i specjalizacją poszczególnych resortów życia państwowego pójdzie zlikwidowanie tych wszystkich, które są zbędne.

Z KOMISYJ SEJMOWYCH

DNIA 25 marca odbyło się posiedzenie Komisji Prawniczej i Regulaminowej Sejmu.

Komisja na wstępie dokonała uzupełniającego wyboru Prezydium, wybierając posłów: Grossa (PPS) i Kliszkę (PPR) na zastępców przewodniczącego, Wilamowskiego (SL) na sekretarza Komisji.

Następnie Komisja przydzieliła referaty poszczególnym posłom, zdecydowała powołanie Komisji Planu Gospodarczego w składzie 15 posłów i 15 zastępców. Na marginesie posiedzenia Komisji Prawniczej komentowano w kuluarach pewne fakty. W skład Komisji wchodzą posłowie, będący równocześnie urzędnikami Min. Sprawiedliwości. Może więc zdarzyć się, że i oni jako urzędnicy Min. Sprawiedliwości, będą opracowywali pewne dekrety, a następnie te same dekrety referowali na Komisji, względnie na plenum. Miejmy jednakże nadzieję, że przewodniczący Komisji Regulaminowej będzie czuwał nad tym, przydzielając odpowiednio referaty, aby urzędnicy Min. Sprawiedliwości nie występowali w podwójnej roli przynajmniej jako referenci.

W skład Komisji Prawniczej z ramienia Klubu Katolicko-Społecznego wchodzi poseł dr. Frankowski Jan jako członek, poseł Bieńkowski Witold jako z-ca.

MŁODZIEŻ I ŚNIEG

W OSTATNICH czasach prasa stołeczna pełna była sprawozdań, reportaży i uwag o pracy studentów przy usuwaniu śniegu. Można było widzieć tytuły „Mokre buty nie zmniejszyły zapału akademików", albo „Młodzież poświęca ferie, by przyjść z pomocą stolicy". Wydaje nam się, że coś tu jest niekoniecznie w porządku. Rozumiemy konieczność pracy fizycznej studentów w wyjątkowych chwilach. Doceniamy powagę sytuacji, jaką stworzyła tegoroczna zima. Wiemy, że młodzież istotnie chętnie spełniła swój obowiązek społeczny. Ale nie wolno zapominać, że ta praca, to tylko środek zastępczy. Obok pracujących studentów można było dostrzec dozorców domowych, którzy oparci na miotłach z życzliwością kontemplowali wysiłki nad łopatą przyszłych pracowników nauki. Sami nie bardzo poczuwali się do zrobienia porządku, choćby tylko na własnych podwórkach, które do tej pory zawalone są przeważnie brudną mazią śniegu i śmieci. Również odrywanie młodzieży akademickiej od nauki może być uzasadnione, ale nie daje powodu do radości. Ostatecznie do każdego dnia pobytu studenta na uniwersytecie państwo dokłada i ten interes nie opłaca się choćby handlowo. Nie mówiąc już o gruntowności nauki przy tego rodaju zajęciach. Wreszcie buty i ferie. Okresy przerw są w życiu akademickim przeznaczone na wykończenie nauki z podręczników. Poświęcanie ich, to nie strata wywczasów, ale chwil przedegzaminacyjnych. No, a buty, mój Boże, lepiej żeby nie przemiękały.

Tak więc uważamy, że wziąwszy pod uwagę właściwe zadania studenta i przypomniawszy sobie, że ogromna część młodzieży musi łączyć naukę z pracą zarobkową, warto zastanowić się przed ponownym zaangażowaniem akademików do poprawiania błędów opieszałych ojców miasta. Jeśli zaś się już powoła, lepiej się z tego zbytnio nie cieszyć.

(List do teologów — ciąg dalszy)

wielu za niewarte uwagi, a tym bardziej szturmu.

Zarówno wy, jak i wszyscy duchowni, musicie dokonać celowych przegrupowań, zapobiegać dywersjom, zrewidować taktykę, uwspółcześnić problemy waszego nauczania, aby stało się ono odżywczym posiłkiem dla aktywnych umysłów. Moi poprzednicy wzywali was do roztropności, albowiem między wami było wiele brawury, może nawet zbyt wiele. Obecnie, gdy jesteście pogrążeni w martwym morzu indyferentyzmu i monotonii ducha, wzywam was do dzielności. Rozumiecie dobrze bez moich wyjaśnień, że nie zachęcam was do ryzykanctwa pośród czarnego morza absurdu i puszcz błędnowierstwa. Prawda nie znosi junactwa i grymasów fantazji.

Osnowa Objawienia i dogmaty Wiary pozostają te same, lecz w słowach Objawienia można ciągle wyśledzać coraz nowsze znaczenia i sens coraz głębszy, dotąd nie ujawniony. Do dogmatycznych stwierdzeń można również dochodzić drogami nowymi, jeszcze pewniejszymi niż stare gościńce.

Wszak wiemy z historii, że nowe dogmaty dodawano do prawd dziedziczonych, i tak jak szlachetne kamienie w ręku mistrza złotnika, składały się na kosztowny królewski diadem.

Teologowie, wzywam was do dzielności. Nie po to tylko, by wystawić na próbę technikę waszej sprawności intelektualnej — byłoby to obrazą dla was i dla waszej nauki — lecz dlatego, że niezbędnym jest wasz udział w uchrześcijanieniu współczesnego człowieka. Teologia powinna mieć w tym dziele cząstkę, swój wkład w akcję ratowania człowieka i cywilizacji. Wy o tym wiecie, przynajmniej powinniście o tym wiedzieć, że opinia i uczuciowe nastawienie ogółu w ostatecznej instancji są uzależnione od stanowiska mężów nauki. Jeżeli uda się wam pozyskać dla sprawy tych przywódców ducha, zobaczycie, jak szeroką falą pójdą za wami rzesze. To jest przedsięwzięcie obliczone nie tyle na pozyskanie mózgów, ile na powszechne odrodzenie, zmartwychwstanie moralne. Dać poznać głębię chrześcijańskiej wiary, wszak to jest waszym obowiązkiem, oznacza ożywić i pomnożyć miłość dla Chrystusa, oznacza przetworzenie duszy pod działaniem Łaski. Zagadnienie tej przebudowy dotyczy nie tylko waszej misji i waszej kapłańskiej ambicji, ale stanowi prócz tego naglącą konieczność dla rodzaju ludzkiego, jeżeli ten ma wreszcie doświadczyć pokoju i zaznać radości.

Mówię to wam i powtarzać będę do ostatniego tchnienia: Ludzkość albo stanie się chrześcijańską, albo marnie zginie. Wy powinniście współdziałać w ratunkowej akcji, która stanowczo i jedynie musi wychodzić z założeń duchowych, jeżeli chce liczyć na pewny rezultat tak w życiu społecznym, jak politycznym. Jak dotąd jesteście zapomnianymi instruktorami kapłańskiego narybku. Musicie być tak, jak ongiś nauczycielami mistrzów,

Kazimierz Koźnieuski

PAN—EUROPA?

Wojna w Europie i na świecie skończyła się. Równocześnie z jej końcem położone zostały podwaliny pod nową organizację bezpieczeństwa zbiorowego w skali światowej — podwaliny „Narodów Zjednoczonych", czy jak zwą u nas „Organizacji Narodów Zjednoczonych". Nie mniej — sprawa pokoju świata nie została tym samym definitywnie załatwioną. Mimo, iż Narody Zjednoczone są teoretycznie wyposażone w bardziej bogate i doskonałe narzędzie egzekwowania swego autorytetu, niż ich prekursorka, niesłusznie ośmiewana i lekceważona, Liga Narodów — to jednak w tej chwili nie okazały jeszcze one skuteczności swego działania. A forum tej instytucji stało się areną parlamentarną, na której ścierają się interesy mocarstw i narodów mniejszych, interesy nader rozmaite i niekiedy wielce sprzeczne. Wydaje się, iż skuteczność działania „Narodów Zjednoczonych" wykształci się dopiero z upływem lat. Jest wielką naiwnością liczyć na to, iż jakikolwiek sposób, jakakolwiek metoda czy instytuca okaże się tym skutecznym panaceum, momentalnie kojącym burzliwe od wieków sprawy ziemi naszej. W tym stanie rzeczy zrozumiałym jest, że odzywają się raz po raz głosy, które w ten, czy w inny sposób chciałyby jednak realizować pokój świata, czy też przy okazji tego pokoju swoje ubijać interesy. Realna groźba energii atomowej — jest bodźcem, który skłania do gorączkowego poszukiwania jakiejś formuły, zdolnej skutecznie zabezpieczyć świat przed nową pożogą, a więc przed jakimś totalnym zniszczeniem. Jest przy tym rzeczą nader charakterystyczną i zanotowania godną, że jakiekolwiek nie byłyby to koncepcje — wszystkie one za punkt wyjścia, za aksjomat niemal niewzruszony przyjmują konieczność łączenia się narodów i państw w większe związki, przyjmują zrzeczenie się części swych suwerennych praw przez poszczególne państwa na rzecz nadrzędnych organizacyj. Wyszyński przed rokiem w czasie londyńskiej dyskusji nad sprawą Indonezji stwierdził wyraźnie, że „narody muszą częściowo poświęcić swą suwerenność, jeśli ONZ ma być skutecznym i realnym organem". To samo zresztą przekonanie brzmi w mowach i postulatach tych wszystkich, którzy dziś z Churchillem na czele, postulują utworzenie tak zwanych Stanów Zjednoczonych Europy. Nawiasem należy tutaj dodać, że ograniczania suwerenności na rzecz wyższych organizacyjnie jednostek międzypaństwowych przyniosą dopiero wtedy konkretne pokojowe rezultaty, jeśli nie tylko narody mniejsze przejmą się ograniczającą regułą, ale jeśli podporządkują się jej w pierwszym rzędzie wielkie mocarstwa. Do tego zresztą też dojdzie. — Wreszcie raz po raz odzywają się głosy, które niedwuznacznie — jak choćby Enstein—postulują jedność całego świata rządzonego przez Rząd Świata. Zresztą nie tylko Einstein, nie tylko 1000 innych uczonych wystąpiło z taką propozycją. Poparł ich stanowisko polityki, premier Kanady, Maccenzie King. A teoretycznie popierają to stanowisko ci wszyscy, którzy jasno myśleć są jeszcze w stanie.

Wobec też wszechświatowej dyskusji—warto może pokrótce rozważyć wszystkie te koncepcje.

BLOKI

W czasie wojny koncepcja bloków, federacji czy stref — gdyż trzy te określenia wyrażają treść mniej więcej jednakową — była bardzo modną w kołach tak zwanych „londyńskich", nie tylko polskich zresztą. W środowisku polskim mówiło się o federacji środkowo-wschodniej i południowo-europejskiej, federacji sięgającej od Bałtyku po Morze Czarne i Śródziemne. Otoczenie de Gaulla chętnie rozprawiało o „bloku zachodnim", do której to zresztą idei skłaniali się też zaraz po wojnie i socjaliści francuscy z Leonem Blumem na czele. Wybitny publicysta amerykański Walter Lipmann nawet ogłosił cykl rozważań o konieczności podziału świata na pięć — jeśli sobie dobrze przypominam — stref; przy czym Europa zachodnia oraz Ameryka miałyby wspólnie tworzyć t. zw. strefę atlantycką. Trzy te przykłady — nie wyczerpują całości różnorodnych pomysłów. Wszystkie jednak te pomysły — mniej czy więcej realne — rodziły się z przeświadczenia, iż minęły czasy, gdy każde z państw, każdy z narodów mógł indywidualnie stawiać czoło losom historii; losom tak politycznym czy wojennym, jak społecznym i gospodarczym. I z tego punktu widzenia koncepcja bloków, federacji czy stref jest koncepcją godziwą; niewątpliwie łączenie się w jakąś blokową organizację może ułatwić życie każdemu poszczególnemu narodowi. — Nie łudźmy się jednak, by bloki w dzisiejszej sytuacji świata mogły stać się skutecznym środkiem zapobiegania wojnie. O stronie praktycznej tego zagadnienia możemy dlatego wyrokować z całą śmiałością, że właściwie koncepcja taka została w praktyce zrealizowana w powojennym układzie sił międzynarodowych. W tej chwili świat — i to należy zapisać kategorycznie na ujemnej stronie bilansu sytuacji politycznej—ukształtował się w parę blokw, czy—co będzie określeniem trafniejszym—stref wpływów.

iżby Bóg najwyższy jako potężna wieża panował wśród niebieskiego sklepienia ludzkiej inteligencji, zawładnął umysłem wolą i sercem ludzkim, przeniknął oby czaje, wysubl mował dążenia i żył wszystek we wszystkich. Zrzućcie z siebie wyleniałą, pomarszczoną skórę zmurszałych kompedjów i stańcie się dzielnymi szermierzami odrodzenia w Chrystus e.

Dla was, którzy jesteście podobni do widm w powłóczystych togach, straw onych przez mole, wypłowiałych od wieków, nie ma innego wyboru:

Albo zejdziecie w ciżbę, uzbrojeni w miotacze oślepiającego światła, albo zczeźniecie zupełnie, zdeptani przez drugocące hordy Antychrysta. Musicie roznamiętnić, rozpalić zainteresowania dla waszej nauki, wykazać namacalnie, przekonać naocznie, że to nie jest jakaś zamarła nauka na użytek umierających tylko strawa powszechna, dająca nowe życie nawet tym, którzy ledwie słyszel jej imię.

Z waszej winy spotyka się wielu ludzi którzy teologię uważają za doktrynę hermetyczną, tajną, dostępną tylko dla adeptów i wtajemniczonych, za monopol zazdrośnie strzeżony przez kler. Wystarczyłoby śmiałe, trafne sprostowanie opinii, aby z wszystkich stron świata zbiegli się wokół was spragnieni.

Ludz e tak pragną, a że nie wiedzą czego pragną, więc cierpią palenia podwójne. Ale ja wiem, że liczni wśród tych męczenników, trawionych wewnętrzną gorączką, szukają orzeźwiającego napoju prawdy. My tylko możemy go użyczyć, my, którzy od dawna skąpimy go zupełnie, albo udzielamy zmącony lub rozcieńczony.

— — — — — — — — —

Od was teologowie żądam, abyście potraf li wywołać w chrześcijanach ów ferment i napięcie wyczekiwania, które tak krzepiło pierwsze apostolskie gminy. Żądam od was, abyście świętą gwałtownością geniuszu targnęli zaspanymi, wstrząsnęli zuchwałymi duchami, abyście je rzucili w niezgłębione odmęty światła i mądrości Bożej. Jeżeli wszyscy chrześcijanie mają być niezmordowanymi współpracownikami Boga, to wam przypada funkcja eskorty i mozół pionierów. Oczyma nowymi przejrzyjcie jeszcze raz starożytne księgi, wyjdźcie nareszcie z podziemnych pieczar alchemii, gdzie często przemieniacie złoto na ołów, a blaski na cienie. Ukażcie paralitykom szczyty, odsłońcie źródła znużonym. Stańcie się ponownie wieszczami, którzy magnetyzują i porywają. Bądźcie i wy z pomocą Bożej wiedzy zbawcami człowieka.

Cóż więcej mogę uczynić, jak tylko modlić się każdego dnia o wasze powstanie z grobów, aby spłynęła na was szczodra, a tak władcza, oświecająca łaska Ducha Świętego.

Celestyn VI Papież
Sługa sług Bożych

Tłumaczył ks. Tadeusz Łagowski.

PAN — ŚWIAT?

Ten układ polityczny nie jest wynikiem żadnej umowy, regulującej stosunki między poszczególnymi państwami; żaden wspólny statut polityczny nie wiąże państwowych jednostek — powstał on jedynie jako rezultat realnej siły i przewagi politycznej trzech wielkich mocarstw (w pewnych sytuacjach można mówić o czterech wielkich mocarstwach, a nawet o pięciu). Trzy te państwa stały się akumulatorami tak wielkiej potęgi politycznej i gospodarczej, że siłą rzeczy państwa mniejsze i słabsze, państwa nawet tak zwane średnie, w dobrze zrozumianym własnym interesie, orientują się na któ ráś z potęg. Przy czym położenie geograficzne odgrywa tu rolę poważną, ale wobec dzisiejszego pomniejszenia się świata, nie koniecznie zasadniczą, np. Turcja i jej stosunek do obu mocarstw anglosaskich. Mimo luk i różnych vacum — praktyczną strukturę polityczną świata można w tej chwili określić jako podział na strefy wpływów. Widzimy, że podział taki — do przezwyciężenia którego zresztą zmierzają w tej chwili wszystkie wysiłki czterech ministrów, którego mankamenty i niebezpieczeństwo są nieustannie poruszane w mowach mężów stanu Wielkiej Czwórki, który wytworzył się wbrew zasadniczym intencjom — podział taki nie jest korzystny dla pokoju świata. W tym właśnie tkwi problem wszelkiego rodzaju bloków. Bloki takie na krótką metę mogą, przez stworzenie pozornej równowagi sił, zachować pokój; na długą jednak metę staną się groźnymi rywalami politycznymi. W miarę wewnętrznego konsolidowania się będą one formować coraz to większą potęgę polityczną i militarnę, w końcu spiętrzą się sprzeczne interesy (pamiętajmy, że bloki idą naogół poprzez kontynenty) i nastąpi wojenne wyładowanie. Wojny między dwoma małymi i słabymi państwami mogą być dla świata nie groźne; mało groźną może nawet być wojna między państwem silnym i słabym — ale między dwoma blokami — każda wojna będzie wojną wielką i grożącą pokojowi świata. Każda koncepcja blokowa grozi wzrostem silnej konkurencji międzyblokowej; a to w żadnym razie nie jest drogą do zachowania pokoju.

PAN-EUROPA

O „Pan-Europie“ mówiło się wiele przed dwudziestu paru laty, gdy hrabia Coudenhove-Kalergi, mający w swych austriackich żyłach mieszankę krwi węgierskiej, niemieckiej, czeskiej, polskiej, rosyjskiej, greckiej i japońskiej — założył w roku 1923 swą „Unię Pan-europejską“ z zadaniem propagowania idei zjednoczenia Europy. Na terenie Ligi Narodów sławnym rzecznikiem tego poglądu był francuski minster Brand. Do realizacji „Pan-Europy“ mimo jej wielkiej atrakcyjności, która pociągnęła wielu intelektualistów — Europa w tamtych latach nie była jeszcze dojrzałą Projekt przeszedł na czas pewien do archiwum historii.

Obecnie został z archiwum tego znów wyciągnięty. Uczynił to po raz pierwszy Churchill w swej mowie z marca 1943 roku, kiedy jeszcze jako premier Wielkiej Brytanii był jednym z szefów walczącego świata. Wtedy to — ze zrozumiałych przyczyn — nie precyzował granic, ani politycznej struktury Stanów Zjednoczonych Europy.

Gdy wojna minęła i przyszedł czas organizowania pokoju — o Stanach Zjednoczonych Europy wspomniał w swym przedwyborczym wywiadzie prezydent Truman, który radby widzieć na tej drodze realizację europejskiego porządku. Churchill w swej sławetnej mowie, wygłoszonej w Zurichu we wrześniu 1946 roku, sprecyzował bliżej swój dawny pogląd, oświadczając, iż ośrdkiem krystalizacji owych Stanów Zjednoczonych Europy winna się stać ścisła współpraca Francji i Niemiec. Wreszcie rozpoczął swą działalność na nowo Coudenhove-Kalergi, który w wywiadzie, udzielonym w dwa miesiące po wojnie Churchilla szwajcarskiemu magazynowi „Sie und er“ stwierdził, iż Europa dojrzała do zrealizowania się koncepcji „Pan Europy“. Równocześnie zadeklarował, iż warunkiem tego jest usunięcie się Rosji z Europy. Coudenhove Kalergi ostrożniejszym okazał się nieco od Churchilla, bo wprawdzie skonstatował z radością, że powojenna nienawiść do Niemców raczej wygasa wśród ludów Europy, (???), ale na przewodnika owej „Pan-Europy“ nie postuluje pospołu Francji i Niemiec, lecz tylko i wyłącznie Rosji. — Nie będziemy podejmować dyskusji z oświadczeniami Coudenhove-Kalergi. Jego poglądy, jego zbyt pohopne utożsamianie problemu Stanów Zjednoczonych Europy z problemami, jakie swego czasu staly przed Stanami południowymi i północnymi Ameryki, czy przed kantonami Szwajcarii — dowodzą niewątpliwie wielkiej szlachetności, ale też naiwności lub świadomego symplifikowania nader zawikłanego zagadnienia. Wywiad twórcy „Pan europejskiej Unii“ jest ważny dlatego, iż jasno odsłania tendencje, które tkwią dziś u podstaw haseł o Stanach Zjednoczonych Europy.

Chodzi o to, iż w tym ujęciu Stany Zjednoczone Europy nie obejmowałyby całej Europy, gdyż wyłączałyby z niej

(Dokończenie na str. 6)

W świecie

W MOSKWIE

MIMO pewnych jeszcze różnic zdań — czterej ministrowie uzgodnili zasadniczo swe poglądy na sprawę jedności ekonomicznej Niemiec. Jedność owa ma być zrealizowana przez jednolity plan eksportowo-importowy, reformę finansową oraz swobodę ruchów między strefami. Silne natomiast różnice występują w poglądach na sprawę reparacji. Rosja domaga się prędkiego demontażu fabryk dla celów reparacyjnych i pobierania odszkodowań z bieżących produkcji. Bidault zgodny jest pod tym względem z Mołtowem, jak również Marshall, który tylko kwestionuje wysokość odszkodowań, jakich domaga się ZSRR. Natomiast zupełnie odmienne jest stanowisko Bevina, który jest zdania, iż pierw winny być odbudowane Niemcy, a dopiero potem będą one uiszczać reparacje, tak by ich życie gospodarcze nie poniosło szkody. Żądanie to wypływa z niechęci Wielkiej Brytanii do łożenia zbyt wielkich sum w okupację Niemiec — dąży więc ona, by Niemcy szybko stanęły o własnych gospodarczych siłach. Bevin i Mołotow żądają podwyższenia produkcji stali w Niemczech. Mołotow dlatego, by nadwyżka ta szła na cele reparacyjne. Przeciwny jest temu Bidault i Marshall. Francja domaga się, by na mocy traktatu pokojowego Niemcy musiały eksportować do krajów sojuszniczych część swego węgla. Mołotow z tym się zgodził. Bevin — był przeciwny. Nierozstrzygnięto sprawy Ruhry, gdyż żądanie Francji, domagającej się specjalnego międzynarodowego statutu dla zagłębia Ruhry — tylko w pewnej części poparte zostało przez delegację radziecką, a odrzucone przez Bevina, przy wstrzymaniu się Marschalla od wypowiedzi.

Jeśli chodzi o przyszły ustrój Niemiec — to tyle jest projektów, ile mocarstw. W. Brytania postuluje federację Niemiec z rządem centralnym, który załatwiałby tylko sprawy zagraniczne i gospodarcze. Ameryka jest za pełną decentralizacją władzy. Również Francja domaga się pełnej decentralizacji i widziałaby najchętniej Niemcy rozdrobnione na szereg państewek. Natomiast ZSRR reprezentuje pogląd — utrzymania jako podstawy prawnej Konstytucji Weimarskiej, z rządem centralnym, dwuizbowym parlamentem, oraz autonomią poszczególnych krajów.

Jak do tej pory przebieg konferencji moskiewskiej — tak na odcinku gospodarczym, jak politycznym, czy nawet proceduralnym wykazał duże zbieżności między poszczególnymi stanowiskami, przy istnieniu wielkich jeszcze, mimo wszystko, różnic zasadniczych. Naogół — jak do tej pory — ministrowie nie uzgadniają swych stanowisk w poszczególnych sprawach — tylko je ujawniają i komentują. Wydaje się, iż uzgodnienie stanowisk nastąpi albo później, albo na konferencjach zastępców ministrów.

Swoistą sensacją konferencji jest ogłoszenie przez Rosję tajnego protokółu krymskiego w sprawie niemieckich odszkodowań oraz przez USA pełnych tekstów umów teherańskiej, jałtańskiej i poczdamskiej. Wszystkie te protokóły nie przynoszą już naogół żadnych nowych rewelacyj i zostały już zrealizowane. Jedynie w sprawie odszkodowań — dzisiejsze stanowisko Rosji zgodne jest w zasadniczych punktach z protokółem krymskim.

W czasie konferencji odbyła się rozmowa Stalin — Bevin. Bevin stara się uzyskać przedłużenie na lat 50 i zrealizowanie sojuszu brytyjsko-radzieckiego, analogicznie do sojuszu francusko brytyjskiego. Moskwa ma pewne zastrzeżenia, tyczące się szeregu punktów istniejącego dotychczas sojuszu, który musiałby ulec wyjaśnieniu lub modyfikacji przed przedłużeniem układu na 50 lat.

Konferencja w Moskwie trwa nadal. Wydaje się, iż daleko jeszcze do jej ostatecznego końca. Zaczynano ją z pesymistycznymi prognostykami. Po trzech tygodniach obrad odzywają się tony raczej optymistyczne. Trudno jest precyzować jakiekolwiek komentarze przed całkowitym zakończeniem rozmów.

AZJA

KONTYNENT azjatycki przeżywa obecnie ważki i ciekawy okres swej historii. Zapatrzenie w sprawy europejskie — nie powinno przysłaniać nam wydarzeń zachodzących w Azji.

Bodaj najistotniejszym wydarzeniem jest wojna domowa w Chinach. Wszelkie zagraniczne mediacje nie dały żadnego rezultatu. Rozmowy między komunistami a Kuomitangiem skończyły się fiaskiem W początkach tego roku, w lutym, wojska komunistyczne uderzyły na wojska rządowe i odrzuciły je na południe. W marcu natomiast odwróciła się karta. Czang-kai-szek przeszedł do ofenzywy tak militarnej, jak politycznej. Uderzenie wojsk rządowych doprowadziło w pierwszej fazie do zajęcia stolicy Chin Komunistycznych Yenanu, a następnie odcięcia wojskom komunistycznym drogi odwrotowej do Mandżurii. Wojska rządowe gotują się do wielkiego marszu na Mandżurię. Równocześnie Czang-kai-szek dokonał politycznej reorganizacji swego reżimu, która głównie polegać ma na oddzieleniu rządu od partj Kuomintangu. Według relacji prasowych Czang-kai szek zarezerwował 11 na 40 foteli w Chińskiej Radzie Państwa dla przedstawicieli komunistów. Trudno przewidzieć losy wojny domowej — wydaje się jednak, iż tak czy inaczej sprawa tego kraju zbliża się do wyjaśnienia. Życzyć należy Chinom, by skończyła się ona rozsądnym kompromisem.

W dn. 25 marca w Batawii, stolicy Indonezji, podpisano układ o utworzeniu Stanów Zjednoczonych Indonezji w ramach Korony Holenderskiej. W tym układzie, zredagowanym po indonezyjsku i holendersku, rząd holenderski uznaje rząd republiki indonezyjskiej, jako sprawujący de facto władzę nad Jawą, Madorą i Sumatrą. Specjalna wybrana konstytuanta ma zająć się ułożeniem konstytucji dla Stanów Zjednoczonych Indonezji. W ten sposób Królestwo Holenderskie przekształca się powoli w jakiś „Commonwealth of Nations“, gdyż Indonezja otrzymała właściwie statut dominialny. Spośród trzech ognisk konfliktów między Europejczykami a Azjatami na tym kontynencie — pierwsza zdobyła niepodległość Indonezja.

W Viet-Namie sytuacja jest ciągle jeszcze niewyjaśniona. Nadal trwają walki z wojskami francuskimi, które powoli posuwają się naprzód. Sprawa Viet-Namu stała się powodem konfliktu rządowego we Francji, gdyż komuniści nie zgadzają się na kontynuowanie walk przeciw Viet-Namowi i wystąpili przeciw przyznaniu na ten cel specjalnych kredytów, których zażądał premier Ramadier. Celem uchronienia rządu od upadku — komuniści nie głosowali przeciw kredytom (wstrzymali się) i nie głosowali przeciw votum zaufania dla rządu. Uchroniło to Francję od ciężkiego kryzysu politycznego, ale nie rozwiązało sprawy Viet-Namu. Sytuacja w Viet-Namie jest podobna jak w Indonezji przed rokiem. I sądzić należy, że za jakiś dłuższy lub krótszy okres czasu — zakończy się tak samo. Indochiny uzyskają honorowany przez Francję statut dominialny.

W Indiach złożył przysięgę i objął urzędowanie 13 — i ostatni — vicekról admirał Mountbatten. Rząd brytyjski postanowił oddać władzę w Indiach samym Hindusom w dn. 1 czerwca 1948 roku, do tego czasu muszą zostać rozwiązane wszelkie problemy polityczne i administracyjne. W związku z tym Ghandj wygłosił przemówienie, nawołujące do pokoju między Hindusami a Muzułmanami. Stwierdził on, iż „naród hinduski myli się, jeśli sądzi, iż uzyska niepodległość przez sam fakt ewakuacji wojsk brytyjskich, jeśli nie ustaną walki wewnętrzne“. Niestety w Pedżabie ludność przygotowuje się do otwartej i jeszcze bardziej zaciętej walki. Paru maharadżów ogłosiło, iż jeśli do 1 czerwca 1948 roku nie nastąpi ostateczne pozytywne załatwienie konfliktu między dwoma wielkimi grupami w Indiach — wyłączą oni swe posiadłości (swe państwa właściwie) z Indii i włączą je na indywidualnych warunkach do Wspólnoty Brytyjskiej.

W końcu marca i początkach kwietnia odbywa się kongres Pan-azjatycki pod przewodnictwem Pandit-Nehru. Przedstawiciele Japonii nie biorą w nim udziału.

Rosję. Byłoby to więc nic innego, tylko stworzenie bloku europejskiego, skierowanego — jeżeli nie wyraźnie, to potencjalnie — przeciwko kolosowi rosyjskiemu, który przecież sam dla siebie jest już pewnego rodzaju światowym blokiem. Być może, iż mieszkający na krańcach półwyspu iberyjskiego Portugalczyk wzruszyłby na taką ewentualność ramionami i rzekł, iż nieobecność Rosji w Europie nic mu nie szkodzi. Dla nas jednak, dla narodu, który w razie takiej nieszczęśliwej kombinacji politycznej znalazłby się na pograniczu dwóch bloków— rozwiązanie takie byłoby wręcz niebezpieczne. Znając bogaty zasób wspólnych interesów, jakie od paru już wieków łączą Rosję z resztą Europy, nie sposób wyobrazić sobie, by w razie zrealizowania koncepcji p. Coudenhove między Stanami Zjednoczonymi owej części Europy a jej resztą — Rosją nie powstały tak gwałtowne sprzeczności interesów, że rozwiązanie swoje mogłyby one znaleźć tylko w wojnie. W wojnie, o jaką my Polacy modlić byśmy się mogli tylko w samobójczym szale.

Następnie: — Stany Zjednoczone Europy wyłączając Rosję w równej mierze wyłączyłyby Anglię. Jak dalece samo narzuca się tego rodzaju stwierdzenie — dowodzi choćby wspomniany już wywiad z p. Coudenhove, który to dopiero na specjalnie sprecyzowane pytanie stwierdza, że naturalnie Anglia tworzyłaby z Europą jedność, gdyż szerokość kanału nie jest już żadną odległością. Obawiać się należy, że praktyka poszłaby po odmiennej linii. Wielka Brytania — tak zresztą jak i Rosja — rzeczywiście nie jest państwem kontynentalnym sensu stricto i jeśliby nawet należała formalnie do owej „Pan-Europy“, to faktycznie zainteresowania jej kierowałyby się głównie poza nasz kontynent, tak długo przynajmniej, jak byłaby Imperium. A potem, gdyby Imperium rozpadło się na części przynależne już to do Stanów Zjednoczonych Ameryki, już Azji, znaczenie Wielkiej Brytanii zmalałoby do wymiarów średnich, znacznie ustępując rzeczywistej sile kontynentu europejskiego, jaką są — czy się komu podoba, czy nie, ten fakt ukryć czy demonstrować — Niemcy.

I tu dochodzimy do sedna problemu Pan-Europy.

Pan-Europa, która by w swych ramach potrafiła harmonijnie zamknąć i Związek Radziecki i Wielką Brytanię, byłaby ideałem, o który możemy błagać niebiosy i nemezis dziejową. Jednak taka Pan-Europa rychło przestałaby być Pan-Europą, gdyż interesy zarówno Wielkiej Brytanii jak i Rosji, a ponadto paru jeszcze innych państw europejskich, daleko wybiegające poza granice kontynentu, rychło by przekształciły Pan-Europę w organizację szerszą, prawopodobnie wszechświatową. Powstanie takiej właśnie Pan-Europy — wobec światowej kluczowości europejskiego problemu — byłoby wspaniałym krokiem na drodze ku realizacji wspólnoty ogólnoziemskiej.

Pan-Europa jednak, która obyłaby się bez Rosji i Wielkiej Brytanii — stałaby się domeną wpływów nie Francji, jak chce tego Coudenhove-Kalergi, ale przede wszystkim domeną wpływów Niemiec. Ponadto byłaby skierowana przeciw Rosji. Pod każdym więc względem koncepcja ta byłaby dla Polski w wysokim stopniu politycznie niewygodną. Poza tym prędzej czy później znaczyłaby wojnę Europy z jakimś innym kontynentem, zorganizowanym na podobnych zasadach wyłączności. Mógłby to być kontynent azjatycki, mógłby być — jako sui generis kontynent — Związek Radziecki, mógłby być kontynent amerykański.

Świat już jest za mały, by stać go było na uformowanie się w pięć czy sześć bloków kontynentalnych. Wobec szybkiego rozwoju wynalazków doszłoby zapewne w krótkim czasie do krwawych i masakrujących prób narzucenia przez jeden zorganizowany i zjednoczony kontynent swej woli innym kontynentom.

Czas na tworzenie całości kontynentalnych minął. Prawdopodobnie istniał on w początkach, w pierwszych trzech dziesiątkach lat naszego stulecia. Wtedy nie wykorzystano go w rozsądny sposób — należy zgodzić się już teraz z formami narzuconymi przez dalszy rozwój cywilizacji technicznej.

Wszystkie uwagi wypowiedziane pod adresem jakiegoś związku kontynentu europejskiego — tylko w części mogą stosować się do związków innych kontynentów. Każdy kontynent jest bowiem konglomeratem niepowtarzalnych problemów. Zjednoczenie Ameryki jest stosunkowo bardzo proste. Zjednoczenie Afryki jest już bardziej skomplikowane, gdyż w grę, i to jako przeszkoda, wchodzi biały człowiek i system kolonialny. Najtrudniejszym — prócz europejskiego — jest problem azjatycki. Konferencja panazjatycka nie obejmuje bowiem wszystkich narodów Azji. W Azji — równie jak w Europie — istnieje problem Rosji. Specyficzną i groźną rolę odgrywają różnice religijne. Budzą się młode, niewyżyte jeszcze nacjonalizmy. A ponadto i tutaj istnieje interes białego człowieka; choć wydaje się bliskim dzień, gdy Anglicy opuszczą Indie, Holendrzy — Indonezję, a Francuzi — Viet Nam. Czy jednak wtedy Pan-Azja, zapewne pod kierownictwem Indii lub Chin, potrafi utrzymać w ryzach rozsądku wyzwolone i pragnące spróbować swych młodych sił narody azjatyckie? Nie sądzimy, by ten ciekawy kontynent prędko zaznał błogosławieństwa pokoju. Zorganizowanie jedności kontynentalnej będzie tam trudne i z tego też powodu, że ludy syberyjskie czują się bardziej związane z Rosją niż z resztą Azji, Palestyna — to świat arabski i Afryka, a Turcja — to znów raczej Europa.

Wydaje się nam, że dzisiejsza sytuacja światowa nie sprzyja już jednościom tylko kontynentalnym. Wszelkie związki kontynentalne mogą tylko wchodzić w grę, jako niższe jednostki administracyjne szerszych organizacyj politycznych. Ale wtedy, mam wrażenie, że wzgląd przynależności kontynentalnej utrudniał by raczej dyrygowanie światem — niż ułatwiał. Pewnie będzie się raczej myśleć wtedy o jakichś rejonach geopolitycznych, mniejszych i innych niż poszczególne kontynenty.

PAN-ŚWIAT

Od jakiegokolwiek punktu nie rozpoczynalibyśmy teoretycznych rozważań nad losami świata — dojdziemy zawsze pod warunkiem zachowania konsekwencji w rozumowaniu, do stwierdzenia, iż tylko i jedynie utworzenie jednolitej dla całego świata organizacji państwowej (nie koniecznie skonstruowanej analogicznie do istniejących organizacyj państwowych) może zagwarantować pokój i swobodny rozwój poszczególnych narodów. Z wnioskiem tego rodzaju godzą się tak uczeni, jak politycy. Różnice między nimi zarysowują się nie w teoretycznym stwierdzeniu konieczności i słuszności takiego rozwiązania, ale w pracach wstępnych. Uczeni, pozbawieni naogół ambicji rządzenia i ambicji państwowych, za to myślący dokładniej, obdarzeni bardziej bujną wyobraźnią — żądają natychmiastowego wprowadzenia rządu świata, przez stosowne przekształcenie się Rady Bezpieczeństwa Narodów Zjednoczonych. Politycy są bardziej praktyczni, wiedzą o tym, jak trudno jest — wobec oporów psychicznych i światopoglądowych — realizować myśl wyrzeczenia się suwerenności własnej na rzecz organizacji międzynarodowej. To też zamiast wypełnić życzenie Einsteina, wołającego o „Rząd Świata“— powołano do życia tylko „Narody Zjednoczone“ — kolejną próbę organizacji zbiorowego bezpieczeństwa.

Za zorganizowaniem globu w jedność polityczną, gospodarczą i administracyjną — przemawiają wszystkie te względy, które rozpatrywaliśmy w cyklu naszych artykułów. Wzgląd bezpieczeństwa zbiorowego. Rozwój techniki. Przemawia za tym powszechne już dziś odczucie. Wreszcie przemawiają te względy, które przytaczaliśmy w paragrafie poprzednim, jako argument przeciw organizowaniu Pan-Europy. Gdyż tylko wtedy uniknie się podziału na jakiekolwiek bloki — zawsze niebezpieczne dla pokoju świata i tylko wtedy wszystkie trzy wielkie mocarstwa, których interesy rozciągają się dziś na całą ziemię, będą wspólnie zainteresowane w utrzymaniu światowego porządku.

A dla nas? Dla wielu narodów kuli ziemskiej — Rząd Świata byłby o wiele korzystniejszy i wygodniejszy niż jakikolwiek Rząd Jednego Kontynentu czy Rząd Jednego Bloku. Głównie dlatego, iż

po pierwsze — tylko Rząd Świata, tylko Pan-Świat może nas skutecznie zabezpieczyć przed rozgrywkami wojennymi między wielkimi mocarstwami, które to skrupią się przede wszystkim na naszej skórze;

po drugie—tylko taka forma światowej organizacji będzie w stanie zabezpieczyć nas przed niebezpieczną i kłopotliwą hegemonią jakiegoś jednego wielkiego narodu tak na naszym kontynencie (co wykazaliśmy pred chwilą), jak na innym;

po trzecie — zawsze lepiej i wygodniej dla danego narodu jest pozbyć się części swojej suwerenności na rzecz ogólnoświatowej organizacji zbiorowego bezpieczeństwa, niż na rzecz takiego czy innego mocarstwa, które w danej części świata, czy w jakimś danym bloku zdobędzie hegemonię polityczną lub gospodarczą. Choćby tylko dlatego, że hegemonię tę będzie prawdopodobnie wykorzystywać dla celów swych, zwanych imperialistycznymi, a to grozi wojną.

Zostały zorganizowane „Narody Zjednoczone“ — dla celów ogólno-politycznych. Powołano do życia szereg organizacji międzynarodowych, zadaniem których jest regulowanie życia społecznego na całym globie. Najważniejsze z nich, to UNESCO, Międzynarodowy Bank dla Odbudowy i Rozwoju, Międzynarodowy Fundusz Monetarny, Org. Narodów Zjednoczonych dla Spraw Wyżywienia i Rolnictwa, Międzynarodowa Organizacja Pracy, Międzynarodowa Organizacja uchodźctwa, Międzynarodowa Unia Pocztowa, Telekomunikacyjna oraz Tymczasowa Organizacja do Spraw Lotnictwa Cywilnego, Światowa Organizacja Zdrowia; dyskutuje się założenie Międzynarodowej Organizacji Handlu. Istnieje trybunał w Hadze. Istnieją międzynarodówki robotnicze i międzynarodowy kapitał. Skauting i Międzynarodowa Unia Studentów i wogóle młodzieży. Istnieje przede wszystkim powszechna, ponad-narodowa organizacja Kościoła Katolickiego, który od wieków prowadzi ludzkość do prawdziwej jedności. Istnieją więc wyraźne i bezsporne elementy, które w konsekwencji rozwojowej muszą doprowadzić do ukonstytuowania się Rządu Świata.

Zjednoczenie faktyczne całego świata— nie tylko powierzchowne i formalne, podobne dzisiejszemu, grożące stale nowymi konfliktami — nastąpi jednak dopiero wtedy, gdy spełnione zostaną pewne podstawowe warunki.

To właśnie będzie tematem następnych rozważań.

Kazimierz Koźniewski

List z Paryża

Jan Dobraczyński

Na śladach Bloy'a

Mieszkam blisko kościoła św. Jakuba; mogę do niego zachodzić codziennie na mszę świętą. Kościół jest duży i taki, jak wszystkie kościoły paryskie: w środku zastawiony krzesełkami o siedzeniach ze słomy i takimiż klęcznikami. Kaplice boczne obiegają w koło wielki ołtarz. Pod ścianami figury świętych, tych najpopularniejszych we Francji: św. Joanny d'Arc, św. Teresy, św. Jana Vianey, św. Franciszka Ksawerego.

We mszy codziennej nie ma wielu modlących się. Piętnaście, może dwadzieścia osób. Kilka starszych pań, paru młodych mężczyzn. Najwięcej stosunkowo dziewcząt w wieku akademickim. Ci co są, modlą się uważnie. W rękach ich widzę gruby mszał benedyktyński. Kiedy rozlega się dzwonek na komunię świętą, wszyscy wstają i podchodzą do kratek. Głośnym szeptem mówią „Confiteor“...

To jest ta Francja, którą znam — Francja małej grupki oddanych sprawie wiernych. Inteligentów. Na mszy niedzielnej grupkę spotykam prawie niepowiększoną. Kościół jest pusty. Ksiądz mówi kazanie do kilku osób. Przed kościołem młody chłopak w amerykańskiej bluzie sprzedaje „Courrier de la Mesnie“, z artykułem o frapującym tytule: „Faites nu roi ou perdez l'empire!“ na stronie pierwszej. Organ monarchistów. Krzyż z liliami, cytaty powiedzeń Henryka, księcia Paryża, fotografia i wspomnienia o Bainville'u. Niewątpliwie jest to zabawa dla inteligentów.

Te Francję „małej grupki z benedyktyńskim mszałem w ręku“ widzi się także poprzez witryny księgarń. Gdyby na nią patrzeć z perspektywy wykładanych na wystawie książek, (a pamiętajmy, że we Francji żaden prawie księgarz nie umie wskazać szukającemu żądanej książki, jeżeli sam szukający nie znajdzie jej na wystawie i nie wskaże na nią palcem — dlatego też wystawy zmienia się codziennie), miałoby się wrażenie, że we Francji czytują tylko Claudela, Psichariego, Peguya, ba, Barbey d'Aurevilly'ego i Bloya — nie mówiąc już o mniejszych i współczesnych — o Bernanosie, Mauriacu, Van der Meerschu, Daniel Ropsie, młodym Henryku Bosco. Tłumaczy się także wszystkie poważniejsze utwory światowej literatury katolickiej. Wszędzie się widzi książki Papini ego słynną „Le chant de Bernadotte“ Werfla, książki Gertrudy von le Fort, Sigridy Unstedt, Chestertona...

W tak modnej dziś we Francji dyskusji o egzystencjonaliźmie biorą udział katolicy. Zdeszta temat egzystencjonalizmu sięgnął nawet Rzymu i znalazł się na forum obrad międzynarodowego kongresu filozofów, który obradował w listopadzie ubiegłego roku w Watykanie. Do zebranych 17 narodów przemówił Ojciec święty, mówiąc między innymi: „W czasie waszych obrad mówiło się, wiele o egzystencjonaliźmie, jako o „filozofii klęski“ i o jego dwóch konsekwencjach: o „przeciwstawieniu intelektualizmowi. pesymistycznego irracjonalizmu“ z jednej strony, zaś o „woluntaryźmie religijnym“ z drugiej.

Filozofia klęski, to wydanie człowieka „au delaissement“ „des geworfenseins“ porzucenie go w mgławicy kosmicznej— podczas gdy rozum przestał wykonywania swych zadań, zawiódłszy się w poszukiwaniach prawdy absolutnej, na której tylko może być zbudowane życie. Nie mamy zamiaru podejmować tutaj rozważań o egzystencjonaliźmie. Ale zapytujemy: czyż jest dla filozofii inne wyjście poza rozpaczą, jeśli nie umie znaleźć rozwiązań problemu Boga, wieczności i nieśmiertelności osobistej? Osobiście wydaje się nam, że błędy ostatnich dziesięciu lat były wyraźną odpowiedzią na postawione przez nas pytania. Ale filozofii nieśmiertelnej (philosophiae perennis) nie grozi niebezpieczeństwo zapadnięcia się w „irracjonalizm pesymistyczny“, bądź też w „woluntaryzm religijny“, mający być reakcją przeciwko niezrównoważonemu intelektualizmowi. Nie stanie się ona ani jednym, ani drugim, ani woluntaryzmem, ani intelektualizmem przesadzonym, ponieważ opiera się na Bogu, jakby na filarze myśli i dzięki temu jest połączeniem jasnej świadomości ze zdecydowaną wolą, która ze świadomości wynika...“.

Obok Sartre'a występują egzystencjaliści typu katolickiego. Od dyskusji stronią natomiast wielcy współcześni. Werfzy Bernanos, znowu pokaleczony na skutek dwóch kolejnych katastrof motocyklowych, trzyma się zdala od nurtu życia. Ostatnio wyszła książka Luc Estanga o. t. „Presence de Bernanos“, poprzedzona wstępem samego Bernanosa, poświęconym przyjaźni dla Leona Bloya. Książka znajduje się w znanym przed wojną z ankietowego charakteru wydawnictwie (założonym przez Daniel-Ropsa) „Presences“.

Claudel ogłuchł na starość — nikt go już nie odwiedza. Natomiast Mauriac chętnie widzi gości w swym mieszkaniu na ul. Teofila Gautier i lubi z nimi rozmawiać. Na poddaszu w starym domku na rue Jacob pracuje Mounier (pojechał w tej chwili z odczytami do płn. Afryki). Pół-belgijski, pół-francuski pisarz Karol Plisnier przeniósł się na stałe do Francji i przeżył wewnętrzną ewolucję w kierunku katolicyzmu.

Tak, ale to wszystko to tylko zabawa inteligentów. Obawiam się, że ani egzystencjonalizm katolicki, ani personalizm typu Mounier Francji nie zbawią. Zresztą Mounier jest trochę jakby na uboczu oficjalnego życia kościoła. Mówi się o nim z uznaniem, lecz bez przekonania. Rozbieżność między postawą defenzywną, przyjętą przez większość kleru francuskiego i belgijskiego, a postawą ofenzywną poszczególnych jednostek takich jak Mounier i Bernanos, a w Belgii Floquet, zarysowuje się coraz mocniej.

To, że katolicyzm ma różne oblicza — to dowodzi jego żywotności sił twórczych. To, że wśród tylu rozbieżności zachowuje jedność — dowodzi jego prawdy i wielkości. In dubiis libertas — uczył już św. Tomasz — i naprawdę nie wydaje mi się, aby istniało niebezpieczeństwo w tym, że w katolicyźmie po Bloy idzie Maritain, po Claudelu — Mauriac, po Peguy — Mounier...

Natomiast wydaje mi się, że nie książki tworzą przyszłość katolickiej Francji. Dotychczas katolicką pracę społeczną upostaciowywały dla nas organizacje młodzieżowe: JOC (robotnicze), JAC (wiejskie), JMC (morskie). Obecnie już i JOC wydaje się czymś przebrzmiałym. Na plan pierwszy wysuwa się organizacja Economie et humanisme“. Jest to ruch kierowany przez Dominikanów — założony w czasie wojny, w obozie w Rawie Ruskiej. Jeden z jego kierowników ojciec D. J. Robert, stwierdza, że zadaniem ruchu jest wypracowanie własnej taktyki chrześcijańskiej w walce o polepszenie ziemskiej doli człowieka. „Car le temporel vaut par lui-meme d'etre sauvé“ — mówi O. Robert. Walka o stworzenie znośnych warunków bytu pracującego, musi być pod-

jęta przez katolików. Ale walki tej nie można rozpocząć bez przebadania materiału. Ruch więc wysyła w teren działaczy ankiecistów, zbierających dane o środowisku. Kapitalne są rysunki, wykonywane wedle opracowanego wzoru. Ankieta zajmuje się jednostkami, rodzinami, całym wreszcie środowiskiem. Stosuje w swej pracy wszystkie najnowocześniejsze zdobycze socjologii i psychologii.

Ruch „Economie et humanisme" opublikował przed paru laty swój manifest. Zgodnie z tym manifestem „E. H." stoi na stanowisku „wspólnoty, gdy chodzi o społeczną stronę zagadnienia człowieka, oraz na stanowisku personalistycznym, gdy chodzi o jego aspekt uniwersalny. Odwołując się do ducha i umysłu ludzkiego, pragnie włączyć istniejącą ekonomię polityczną oraz ekonomie marksistowskie do nowego systemu ekonomii ludzkiej, pojmowanego jako dyscyplina naukowa i jako postawa wobec życia..." Swój stosunek do marksizmu „E. H." określa słowami, że „marksizm jest wielkim zjawiskiem w dziejach myśli ludzkiej. Nie można go poprostu i zwyczajnie ani zaakceptować, ani odrzucić. Analiza wykazuje w nim zarówno elementy pozytywne, jak i negatywne. Analiza ta musi zacząć od dezintegracji marksizmu. Otrzymamy wówczas następujące elementy: a) humanizm (wyrażający się w czasie, w linii rozwojowej raczej niż w doktrynie); b) materializm; c) kolektywizm; d) racjonalizm; e) ateizm".

Zdaniem „E. H." marksizm po odrzuceniu ateizmu i materializmu znaleźć się może w nowym systemie ekonomii ludzkiej. Stosunek do kolektywizmu nie jest negatywny — w pewnym związku z „Economie et humanisme" powstała t. zw wspólnota (communanté) Marcel Barbu. Barbu założył fabrykę pudełek do zegarków, w której pracował sam wraz z trzema robotnikami. Fabryka była ich wspólną własnością. Wspólnota ta obejmuje zresztą całość życia jej członków — zamienia się w zbiorowe życie rodzinne. Obecnie ośrodek Barbu mieści się w Valence, wydaje własne pismo „Communauté".

Podaję te wszystkie dane, dotyczące ruchu „E. H." i ruchu komunotarnego (nazwijmy to tak) w skrócie i bez komentarzy, których, jak dotychczas podać bym nie umiał. Rzecz jest niewątpliwie ciekawa, zakrojona na miarę olbrzymią. Czy mając w sobie tyle składników myśli specyficznie francuskiej, ruch potrafi zrealizować swe zamierzenia międzynarodowe — trudno zdać sobie z tego sprawę. Czy stanie się rodzajem katolickiej międzynarodówki? I o tym trudno coś konkretnego powiedzieć.

W każdym razie zainteresowanie ruchem „E. H." we Francji i w Belgii jest ogromne. Jedną z metod pracy ruchu jest organizowanie nieustannego stage'u pracy w fabrykach i kopalniach dla przygotowujących się do działalności społecznej. Charakterystyczną odrębnością „E. H." od JOC'u jest zejście do środowiska robotniczego i zajęcie się robotnikiem bez wyłączania go z ram jego codziennej pracy. Chodzi nie o „dodanie" życia religijnego do życia codziennego, ale o prze-

(Dokończenie na str. 16)

Zygmunt Przetakiewicz

ONR — Konfederacja Narodu — „Dziś i Jutro"

Artykuł ten bynajmniej nie ma być odpowiedzią na list „18-letniego ucznia III klasy gimnazjum", skierowany do redakcji „Kuźnicy".

Szereg ludzi z tak zwanego obozu marksistowskiego, jak i część potencjalnych, czy aktywnych tegoż obozu ideowych, czy politycznych przeciwników, ze względu na powierzchowne podejście do problemu, nie jest w stanie zrozumieć ewolucji, jaką przebyli dawni członkowie ONR'u i SN'u, dziś współpracujący z redakcją naszego tygodnika i biorący żywy udział w ruchu katolicko-społecznym. Zupełnie zatem zrozumiałe, że czasami doszukują się oni w obecnej działalności tych ludzi podporządkowania idei, czy ideologii makiawelistycznej—grze taktyczno-politycznej.

Chcąc zrozumieć działalność ONR'u i postawę ONR'owca w latach 1934-39, „Konfederacji Narodu" i KN'owca w czasie wojny z Niemcami oraz dz ałalność i postawę tych samych ludzi w dobie obecnej rzeczywistości, trzeba zdać sobie sprawę z klimatu i stosunków społeczno-politycznych, panujących w tych okresach czasu oraz z faktu, że od momentu powstania ONR'u do momentu kształtowania się nowej powojennej rzeczywistości upłynęło wcale niebanalnych 11 lat.

ONR jest tworem Polski powersalskiej, a zatem powstał w okresie kończenia się starej epoki liberalno-kapitalistycznej, epoki w końcowej swej fazie zupełnie zdegenerowanej. Również należy wziąć pod uwagę fakt, że Państwo Polskie po blisko dwuwiekowej niewoli, de facto w drodze rozwiązań światowych, a w przekonaniu olbrzymiej większości Polaków— zawdzięczając naszej akcji polityczno-wojskowej, odzyskało niepodległość. Jak kształtowały się stosunki polityczno-społeczne w Europie i Polsce, wiemy wszyscy dokładnie, bo nie są to czasy zbyt odległe. Niemniej dla lepszego zrozumienia, dlaczego powstał ONR, czy jemu pokrewne organizacje i jaka była postawa ONR'owca, pozwolę sobie w kilku rzutach je naszkicować.

Rosja, kończąc starą epokę, szuka nowych dróg poprzez rewolucję marksistowską. Niemcy i Włochy weszły ne drogę hitleryzmu i faszyzmu. Francji i Anglia, kurczowo trzymające się starych przeżytych prawd, starają się drogą ustawicznych napraw budowli zachować gmach, którego fundamenty skruszały. Polska nie posiada żadnej koncepcji, kopiując często totalizm zachodni, stara utrzymać się w gruncie rzeczy w epoce XIX wieku.

Młode pokolenie, wychowane w Polsce niepodległej, staje wobec faktu nędzy mas chłopskich, robotniczych i części zawodowej inteligencji. Chłop, dzielący zapałkę na cztery, robotnik z Widzewskiej Manufaktury, nauczyciel zarabiający mniej od posterunkowego policji, są chyba wystarczającymi przykładami. Stare partie polityczne, sprowadzające działalność do sporu Paderewski, Dmowski, Piłsudski, nie mogły budzić zaufania młodego pokolenia, którego sprawy te obchodziły raczej z punktu widzenia historycznego. Postawa sanacji, że Polska to oni, to Legiony, Brześć, zielona mundurowa policja i korupcja sanacyjnych dygnitarzy powodowały zrozumiałą reakcję młodego pokolenia.

Młode pokolenie instynktownie wyczuwało nadejście nowych czasów. Nie rozumiało i nie mogło zrozumieć poglądu na świat pokolenia swoich ojców. Albo musiałoby wbrew swemu instynktowi bez wiary w stary porządek świata pójść ze starymi, albo usiłować na własną odpowiedzialność szukać nowych rozwiązań problemów politycznych, ideowych i społecznych.

Istniała jedna, jedyna możliwość nowej drogi nie na własną odpowiedzialność, to marksizm, a ściśle komunizm, którą zresztą część młodego pokolenia usiłowała sobie przyswoić. Warto zaznaczyć, że mimo walki często o charakterze bardzo gwałtownym, gdzie bronią była bomba czy pistolet, komuniści polscy z jednej strony, a młodzież SN, OWP, ONR z drugiej negowały stary porządek, który się przeżył. To nie jest zaprzeczeniem tego, że światopoglądowo czy ideologicznie były to obozy najbardziej sobie wrogie.

Większość młodego pokolenia nie poszła na marksizm. Większość naszej młodzieży była katolicka przynajmniej w sensie irracjonalnym. Nie twierdzę przytem, że wszystkie metody działania i koncepcje polityczne OWP czy ONR'u były zgodne z etyką, czy doktryną katolicką.

Niewątpliwie ludzie stojący na czele ONR'u, nie zdążyli wypracować w tym czasie dojrzałych i właściwych rozwiązań, zgodnych w sposób pełny z ich poglądem na świat. Marksizm odrzucili, bo ideologicznie im nie odpowiadał, przyjęli zatem część metod z faszyzmu, który jeszcze wtedy w sposób widoczny nie zohydził człowieczeństwa, a dawał pozornie receptę pewną na szybkie zlikwidowanie skorumpowanego porządku. Zbyt wielką była nienawiść do jego nieprawości i niesprawiedliwości społecznej, by nie ulec temu. Konsekwencją przyjęcia części metod walki stały się wpływy ideowe faszyzmu, że były one powierzchowne świadczy najlepiej okres wojny. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że totalizm ONR'u, czy jego metody rozwiązywania kwestii żydowskiej, są jak najbardziej godne potępienia, ale wydaje mi się, że ta część aktywnego młodego pokolenia, która nie poszła na marksizm, musiała chorobę totalizmu przejść.

Choć jak najbardziej słusznie potępia się metodę kastetu, rewolweru czy bomby zegarowej, to jednak postawa ONR'owca w intencji była czysta. Wydaje się to paradoksem, niemniej była to postawa człowieka walki o lepsze jutro, który chciał zniszczyć stary porządek, bo bolała go jego niesprawiedliwość społeczna, który instynktownie przejrzał, że idą nowe czasy i wyszedł im na przeciw. Słowo radykalny w nazwie organizacji, to nie tylko radykalizm metod, ale przede wszystkim radykalizm społeczny.

Może ktoś powiedzieć: dobrze, ale po okresie Berezy, w której więziono obok komunistów młodych z SN'u i ONR'owców, były konszachty ze śmiałym.

Niewątpliwie pomysł rozbicia sanacji przez Związek Młodej Polski okazał się nierealny. W samej jednak koncepcji nie było kompromisu ideowego, gdyż z chwilą spostrzeżenia jej nierealności nastąpiło natychmiastowe wystąpienie elementów narodowych ze Związku Młodej Polski.

Okres konspiracji, to pełny nawrót naszego społeczeństwa do polskiego romantyzmu. To lata wspaniałego oporu stawianego najeźdźcy. Chlubny swój udział ma tu „Konfederacja Narodu" i „Grupy Uderzenia", założone przez ludzi z dawnej Falangi.

Pozornie zdawałoby się, że trudno wydrębnić KN z całości konspiracji AK'owskiej. Ten sam duch oporu — mierzenia sił na zamiary, ta sama wiara w Anglię i Sikorskiego, ta sama postawa wobec Rosji.

A jednak KN różniła się zasadniczo od ludzi z Delegatury, Porozumienia Stronnictw i Dowództwa AK. KN różniła się przeniesieniem walki z Niemcami na płaszczyznę partyzantki w białostockim, nowogródczyźnie i wileńszczyźnie już w r. 1942, tuż za pochodem Niemców na Rosję. KN różniła się także postawą wobec starego porządku i stąd szukanie nowych rozwiązań problemów ideowych, politycznych i społecznych, próba odgadnięcia ducha nowej nadchodzącej epoki. Tak powstał „Uniwersalizm" KN'u, ewolucja z nacjonalizmu w kierunku uniwersalistycznego pojmowania roli narodu w świecie i koncepcja „Imperium Słowiańskiego", głosząca, że aby naród polski mógł dalej istnieć i rozwijać się, być współtwórcą kultury i cywilizacji europejskiej wielkiej rodziny narodów, musi, zatracając swoją odrębność na rzecz wspólnoty, drogą wzajemnej asymilacji stworzyć wraz z najbliżej sąsiadującymi narodami o tym samym pniu etnicznym i tej samej kulturze i cywilizacji nowy naród na skalę „British Common Wealth'u", czy narodu radzieckiego. To rozwiązanie miało zarazem jedynie skutecznie uchronić nas od stale zagrażającej nam możliwości utraty niepodległości, która istniała od czasu rozpadnięcia się polsko-litewsko-ruskiej wspólnoty szlacheckiej. W tak pojętej koncepcji nie powinno nikogo peszyć użyte w określeniu jej słowo „Imperium", które zresztą w świecie ma swój zupełnie inny sens i niewłaściwie zostało tu wprowadzone.

Dawny Falangista, człowiek zakażony totalizmem, z niego się otrząsnął. Postawa natomiast pozostała ta sama, postawa człowieka, który na przełomie epok w poszukiwaniu prawdy wychodzi na przeciw nowym czasom.

Chcę na marginesie poruszyć sprawę działalności Falangi na emigracji. To, że po rozwiązaniu Falangi w kraju nazwa jej utrzymała się na emigracji, jest wynikiem przyjętej na emigracji zasady, że mają prawo działania tylko przedstawicielstwa partii czy organizacji politycznych, istniejących i działających w kraju przed wojną. De facto Falanga na emigracji uważała się za reprezentanta KN'u. Razem z innymi grupami młodonarodowymi i Adamem Doboszyńskim wydawano pismo „Walka". Osiągnięcia pisma z dziedziny ideologicznej są podobne do osiągnięć KN'u w kraju. W zakresie polskiej polityki zagranicznej przeciwstawienie koncepcji Sikorskiego i Mikołajczyka podporządkowania polityki polskiej polityce Foreign Office poglądu, że z tytułu roli kluczowej, jaka przypadła Polsce w tej wojnie, może Rząd Polski twardą i zdecydowaną postawą wobec Anglosasów i Rosji wywalczyć wszystkie swoje postulaty.

Życie przyniosło zwycięstwo koncepcji PKWN'u, który tłumaczył społeczeństwu że Polska może liczyć tylko na siebie Winna też ułożyć stosunki z naszym wschodnim sąsiadem tak, aby naród polski wyciągnął z tego maksimum korzyści.

Fakt, że zaraz po ukończeniu wojny staje do pracy w ramach nowej rzeczywistości politycznej i społecznej szereg ludzi z dawnej Falangi i KN'u, wtedy gdy całe prawie polskie podziemie związane z Londynem nadal tkwi jeszcze w konspiracji, nie da się tłumaczyć pójściem tych ludzi na koniunkturę. Każdy z nich czy wypuszczony z więzienia, czy będący przez cały czas na wolności mógł łatwo przedostać się na Zachód i z tego typu przeszłością odgrywać zasadniczą rolę w kołach emigracji, chcących tworzyć „małą Polskę" na Zachodzie Europy. O pracy naszej w kraju zadecydowało zrozumienie dzisiejszej racji stanu, chęć służenia realnie Polsce w każdej sytuacji i uświadomienie sobie faktu, że razem z marksistami stanowimy jeden front negacji starego porządku, który się przeżył, a walkę wynikającą z biegunowo różnych założeń katolicyzmu i marksizmu można przenieść poza sferę akcji rewolwerowej na płaszczyznę tarć ideowych, politycznych i społecznych.

Nie chciałbym, aby tytuł mojego artykułu zrozumiany był przez czytelników, że „Dziś i Jutro" jest kontynuacją ONR'u czy KN'u.

W środowisku związanym z tygodnikiem „Dziś i Jutro", czy też w tworzącym się ruchu katolicko-społecznym poza ludźmi z dawnej Falangi i KN'u są byli członkowie SN'u, SP, dawnego PPS'u, „Delegatury", AK, jak i ludzie politycznie zupełnie nowi — wszyscy stojący na gruncie zasad społecznej doktryny Kościoła, katolickiego uniwersalizmu i wprowadzenia katolickiej etyki w życie publiczne. Od tych, którzy nie byli w Falandze czy KN'ie, a z którymi współpracujemy obecnie, czy w przyszłości będziemy współpracowali, nie możemy żądać, aby brali odpowiedzialność za nasze błędy, popełnione w okresie ONR, Falangi, czy KN'u.

Z drugiej jednak strony stwierdzamy to wyraźnie, z taką samą odwagą, z jaką potępiamy błędy naszej tradycji, zabiegać będziemy zarówno u nas, jak i u innych o pełny rozwój wartościowych osiągnięć naszej przeszłości.

Na marginesie warto krótko omówić sprawę NSZ'tu. Musimy znowu sięgnąć do czasu ONR'u. ONR po blisko miesięcznej działalności jawnej i legalnej został przez ówczesny rząd sanacyjny rozwiązany, ukoronowaniem tego było zesłanie przywódców jego do Berezy Kartuskiej. Po wyjściu ich z Berezy ONR zaczął działalność nielegalną, w trakcie której ze względu na różne poglądy odnośnie metod działania, jak i pewne różnice natury ideologicznej nastąpił rozłam na ONR - Falangę i ONR - ABC. W czasie wojny ONR-ABC wraz z częścią członków SN-u wyłonił Narodowe Siły Zbrojne, będące w okresie początkowym rozwoju poważną konkurencją dla ZWZ'tu. W roku 44 ludzie z SN'u, będący w NSZ'cie, wrócili do swego dawnego stronnictwa, przechodząc pod rozkazy AK. Prawie wszyscy członkowie ONR-ABC, twórcy NSZ-etu, zginęli w walce z Niemcami. Pod koniec wojny NSZ-et uległ kompletnej degeneracji. Przejęcia się metodami hitlerowskimi w czasie, w którym hitleryzm pokazał światu, a przede wszystkim jak najdobitniej nam Polakom, do jakiego zwyrodnienia człowieczeństwa prowadzi totalizm, trudno jest zrozumieć. Dzisiejsza działalność NSZ-etu zarówno niezgodna jest jak najbardziej z etyką katolicką, jak i dzisiejszą polską racją stanu.

Zygmunt Przetakiewicz

Tydzień kulturalny

POŁUDNIOWA AUDYCJA RADIOWA W WIELKI PIĄTEK

Zapowiedzi programowe Polskiego Radia na Wielki Piątek w tym roku sygnalizują nadawanie nabożeństwa ludowego o Męce Pańskiej z kościoła parafialnego z Kazimierzy Wielskiej, powiatu Pińczowskiego, w regionalnym specjalnym ujęciu, pod nazwą: „Razem z Ukrzyżowanym“.

Trzeba zaznaczyć, że pora tej audycji od godz. 12.30 do 15-tej odbiega od godzin, w których przyzwyczajeni jesteśmy słuchać audycyj z kościołów.

Jak nas informują organizatorzy tej audycji — ta osobliwa pora nabożeństwa wiąże się z historyczną okolicznością, że Chrystus był ukrzyżowany około południa, a skonał około godziny 15-tej, licząc według naszego sposobu rachowania czasu. Czyli mamy do czynienia z próbą aby rocznicę Ukrzyżowania obchodzić nie tylko co do dnia Piątkowego, ale nawet i co do pory dnia.

Trzeba dalej zaznaczyć, że według danych od organizatorów audycji, treść tego nabożeństwa — zarówno od strony tekstu, jak i od strony melodyj pieśni zawiera dużo nowości i świeżości.

Jest to ambitna próba, aby katolik XX wieku stworzył dla naszego skarbca liturgicznego nowe wkłady uzupełniające i aby z tego ogół katolików 20 wieku miał bogatsze środki do pełniejszego wyrażania swoich przeżyć modlitewnych w dzień tak ważki, jaki jest Wielki Piątek.

W jakiej mierze te zamiary są urzeczywistnione — przekonać się mogą wszyscy katolicy, jeżeli uruchomią swe radioodbiorniki w Wielki Piątek w porze tej religijnej audycji z Kazimierzy Wielkiej.

UCZONY CZESKI PISZE W „PRZEGLĄDZIE ZACHODNIM“

Jedną z najcharakterystyczniejszych cech stosunków polsko-czeskich jest niewątpliwie — krótkowzroczność. Ulegała jej w mniejszym lub większym stopniu na przemian to jedna, to druga strona. To też jest rzeczą szczególnie pożądaną, aby problem tych stosunków rozpatrzeć z całym spokojem w perspektywie historycznej i ponad zmiennymi, czy spienionymi falami animozji i koniunktury wytyczyć linie stałe, które by miały charakter niewzruszalnych politycznych kanonów dla obu narodów. Za taki głos prostujący ścieżki w tym kierunku należy uznać artykuł, jaki profesor Uniwersytetu im. T. G. Masaryka w Brnie— Józef Macurek — ogłosił w ostatnim numerze (luty 47) poznańskiego „Przeglądu Zachodniego“. Prof. Macurek rozpatrując rozwój świadomości wspólnoty słowiańskiej w narodzie czeskim od najdawniejszych czasów aż po Białą Górę, dochodzi do przekonania, że świadomość ta istniała tu zawsze, a w praktyce objawiała się dążeniem do zespolenia z Polską, a więc polonofilizmem.

Obok tego niezmiernie cennego artykułu prof. Macurka znajdujemy w ostatnim „P. Z.“ artykuły poświęcone Poznaniowi, który w lutym święcił drugą rocznicę swego wyzwolenia. I tak W. Hensel pisze na podstawie najnowszych odkryć wykopaliskowych o Poznaniu, jako stolicy Mieszka I, a w korespondencjach o najnowszych osiągnięciach literackich i teatralnych miasta — T. Kraszewski, gospodarczych zaś — St. Krokowski.

Numer uzupeniają artykuły — niemcoznawcze: A. Klafkowskiego „Traktat pokojowy dla Niemiec i A. Rogalskiego „Problem winy i problem przyszłości Niemiec“ (sprawozdanie z niemieckich książek, które ukazały się w Szwajcarii, m. in. ciekawe wspomnienia oficera, który przygotowywał zamach na Hitlera), bilansowe: K. Pietrzak-Pawłowskiego „Od Prus Wschodnich do Województwa Olsztyńskiego“ i Z. Tucholki „Bilans Osadnictwa na Ziemi Lubuskiej“; polemiczne: T. Lehr-Spławińskiego „Z rozważań o pochodzeniu Słowian“ i W. Kochańskiego „Język polski sukcesorem połabskiego“; wreszcie recenzyjne: St. Kozickiego „Bezdroża przedwojennej polityki światowej“ (na marginesie książek ambasadorów: L. Noela i A. F. Ponceta) oraz M. Straszewskiego „Technika i osiągnięcia czeskiej akcji osiedleńczej“.

Stanisław Rembek

Wyrok na Fran

Burmistrz Korkowski siedział nachylony głęboko i z zajęciem obserwował końce swoich nowych półbutów wiśniowego koloru.

— Chomiński ma rację — orzekł niedbale. — Na konspiracji żaden naród dobrze nie wyszedł, a już nasz najmniej. Wszystkie nasze powstania, wszystkie nieszczęścia zawdzięczamy młodzieży. Bo największe zło konspiracji leży w tym, że nigdy nie wiadomo, kto nią kieruje. Jak więc tu łatwo o prowokację. Weźmy tylko czasy rewolucyjne po wojnie japońskiej. Ileż tam było prowokacji! A ojciec Tichon, a Azef? Komuniści dlatego właśnie rządzą, że nie bawili się w zamachy, tylko działali w masach i przy pomocy mas.

Młody Fanfara zwrócił się do niego w pełnej uszanowania postawie.

— Więc według pana burmistrza, nie tylko że nie mamy się organizować, ale nawet mamy pozwolić na to, żeby wszyscy zdrajcy, folksdojcze i zbrodniarze panoszyli się u nas wesoło i bezpiecznie, jak u siebie w domu.

Chomiński z trzaskiem postawił wytartą szklankę.

— A bo teraz pewnie się nie panoszą! Co? Nastrzelaliście u nas kupę żandarmów. Prawda, że byli dranie, ale już się tak oswoili, że z ręki jedli. Po wojnie zresztą wzięlibyśmy ich za pierze, jak piskleta. A tymczasem teraz przysłali na ich miejsce swołoczów właśnie sto razy gorszych...

Młody Fanfara podniósł wysoko brwi, nieco pobladły.

— Ale dlaczego pan ciągle mówi do mnie „wy“? Jakbym miał przemawiać w czyimkolwiek imieniu?

— Uhm, uhm! — zakaszlał burmistrz, zakrywając usta ręką.

Przerzuciliśmy się rozbawionymi spojrzeniami. W porę się spostrzegł! Już też nasi młodzi konspiratorzy nie byli nigdy zbyt zakonspirowani.

Młodzieniec wodził po nas niespokojnym wzrokiem.

— Każdy z nas przecie wypowiada tylko ogólne poglądy.

— Tss! — syknął Chomiński.

Brzęknęły oszklone drzwi i ukazał się Kłos. Zasalutował z milszym niż zazwyczaj uśmiechem i zaczął się witać.

Młody Fanfara udał, że kaszle i uciekł do ogólnej sali, bełkocząc przez ślinę:

— Gdzie tu spluwaczka?

Przyglądaliśmy się świeżo upieczonemu folksdojczowi z ciekawością. Rzeczywiście zmienił się na korzyść. Schudł, pobladł, ale przytym rysy jego straciły dotychczasową dzikość, a oczy stały się przezroczyste i uduchowione, jak zwykle u ludzi, którzy wiele przecierpieli.

Chomiński stanął za bufetem i odwrócił do góry dnem szklaneczkę.

— Jedną większą?

Kłos wchodząc tu, nie miał zamiaru pić. Nawet dziwił się sobie, że po tygodniu abstynencji nie odczuwa najmniejszej ochoty na wódkę. Teraz jednak wstydził się odpowiedzieć odmownie.

„Powiem nie, to wszyscy na mnie wytrzeszczą gały“.

— A... niech pan naleje.

— Zakropić?

— Niech pan zakropi.

— Może angielską gorzką?

Chomiński mrugnął do nas, żebyśmy zwrócili uwagę na ten dowcipny przytyk.

— Niech będzie.

Wypił i zaczął wybierać zakąskę. Zastukał potem w szybę, wskazując na wybraną kanapkę z kiełbasą krakowską. Zaczął ją dokładnie smarować musztardą, zlekka, przytupując końcem prawego buta.

— Może przygrzać kotlet? Dzisiejsze.

— A co jest na obiad?

— Może być rosół z makaronem, kapuśniak, a na drugie sztukamięs, bitki, kiełbasa z kapustą.

— Niech będą bitki.

Zajadając podszedł do drzwi do sali ogólnej i zaczął czytać przybite tam pluskiewkami rozkłady jazdy pociągów kolei państwowych oraz kolejki dojazdowej.

Obserwowaliśmy go wszyscy w zupełnym milczeniu.

— Raz bitki — wykrzyknął Chomiński w stronę kuchni.

Naraz Kłos obejrzał się na nas bystro.

— Panie Fanfara, pan powinien wiedzieć. Który pociąg ma połączenie ze Skarżyskiem?

— To chyba tylko ten czternasta, czterdzieści osiem.

— Druga, czterdzieści osiem? — rzucił okiem na zegar, wiszący w sali ogólnej.— A to już trzecia!

— Ten zegar się spieszy — objaśnił skwapliwie Chomiński.

— Zresztą dziś jeszcze żaden pociąg z Warszawy nie przyszedł o swoim czasie.

— Jak zawsze zresztą — dorzucił pogardliwie burmistrz.

Kłos podskoczył do bufetu.

— Co ja płacę?

— To bitki odwołać?

— Tak jest. Muszę zaraz jechać.

Był radośnie podniecony i zarazem pełen niepokoju. „Rano już będę u Lodzi i nie będę wcale potrzebował nocować w mieszkaniu. Bylem się tylko nie spóźnił!“.

Zapłacił należność, oczywiście według cennika urzędowego i żegnał się z nami, salutując wokoło, roześmiany.

— Dowidzenia! Dowidzenia! Niedługo się znowu zobaczymy.

— W dzisiejszych czasach to nic nie wiadomo — odburknął stary Fanfara ponuro.

— Tak. Czasy są — można powiedzieć— niespokojne — powtórzył mu burmistrz z lekkim westchnieniem.

Kłos wybiegł.

— To jest jeszcze jeden przykład działalności naszych konspiratorów — podjął przerwaną rozmowę Chomiński. — Natłukli całą kupę prawie zupełnie nieszkodliwych już żandarmów, a takie bydlę chodzi spokojnie po świecie i donosi, a morduje, kogo popadnie. Dziecko, nie dziecko.

— Pan to nie możesz tych żandarmów odżałować — odezwał się szyderczo stary Fanfara, wyciągając swoją fajkę i kapciuch z tytoniem.—Musiał pan na nich zdrowo zarabiać.

— A choćby! To i panu za to mogłem postawić, i innym. A teraz...

— Cicho! — zawołał burmistrz. — Nie kłóćcie się! Wiecie, po co Kłos jedzie w kieleckie? Bo ja wiem. Tam się ukrywa jego żona z dziećmi. Zobaczycie, że to zwierzę zamorduje jeszcze i ją i dzieci. Już ich raz o mało nie zamordował.

— No! — wykrzyknął znowu Chomiński. — A co robią nasze tajne organizacje?

— Kłos dostał przecie wyrok! — oburzył się Fanfara.

— Ba, nawet już ile miesięcy temu. Za zamordowanie Walusiaka. Ale od tego czasu, ile namordował? A teraz został w dodatku folksdojczem...

— Panie Chomiński — przerwał mu naraz młody Fanfara jakimś zdławionym głosem. — Można od pana zadzwonić?

— A dzwoń pan! — machnął ręką.

— Bo przypomniała mi się ważna sprawa.

Nerwowo nakręcił numer.

— Czy pan K? Tak? Tu.. No mniejsza. Przypomniało mi się, że pani Wiśniewska mówiła mi, że dzisiaj przyjeżdża z Warszawy o drugiej, czterdzieści osiem... Nie... Jest opóźniony... Tak jest... I trzeba, żeby ktoś po nią wyszedł na stację, bo będzie z pakami... Najlepiej dwoje. Tak... To dawna sprawa... Z lipca czy sierpnia... Tak, tak, miejscowa... Tak, tak, granatowy materiał na suknię... No, więc dobrze.

Burmistrz Korkowski mrugnął do mnie lekko.

— Fajna konspiracja — szepnął zjadliwie Chomiński.

— Ale o Kłosa możesz pan już być spokojny — odrzucił mu burmistrz.

Powstał, przeciągnął swoją maleńką figurkę i ziewnął szeroko.

— A teraz radzę wszystkim, żebyśmy się rozeszli po chałupach.

XXIII.

No dworcu było pusto. Tylko przy drzwiach wyjściowych stał bileter, a na przeciw niego strażnik kolejowy z czarnymi naramiennikami, od których straż tę nazywano ogólnie „czarnym“.

Kłos podszedł do nich niespokojnie.

— Czy przyszedł już pociąg na czternastą, czterdzieści osiem?

— Jeszcze nie przyszedł.

— A kiedy przyjdzie?

— Kto to może wiedzieć. Miejscowy z Warszawy miał opóźnienia dwie godziny.

— Ale wogóle przyjdzie.

— Powinien.

Kłos odetchnął. „Wszystko mi się dzisiaj wiedzie, to i to się uda. Mam szczęśliwy dzień“.

Długo pukał do kasy, zanim udało mu się wydostać bilet. Wrócił do biletera.

— Nie postawili jeszcze sygnału?

Halina Kamieniecka

RECENZJE

POECI GRUPY „PRÓG“
Jerzy Kierst. Płomień nad czołem. Warszawa 1947. Kat. Tow. Wyd. „Rodzina Polska“.

Aby nie tylko zrozumieć, ale w pełni przeżyć w sobie poezję Jerzego Kiersta, poety warszawskej grupy literackiej „Próg“, trzeba samemu wejść w ów klimat wiary i przejąć się do głębi ideałami tych młodych poetów. Credo ideowo-artystyczne tej grupy opiera się i wyrasta organicznie ze światopoglądu katolickiego. Dążą oni do realizacji ideałów ewangelicznych na ziemi tak w poezji, jak w każdej dziedzinie życia, a przez to do wypełnienia celu ludzkości, która przez twórczość zgodną z bożym planem wyrwie się z zaklętego kręgu zła i osiągnie zbawienie.

Najdobitniej wyraża to Kierst w końcowym poemacie tomu p. t. „Ziarno piasku“.

Z klimatu tej wielkiej wiary rodzi się poezja Kiersta.

Pisze on:

„I niech miłości znak
pomiędzy światem i wiedzą
płonie w obrotach gwiazd
i w kłosach zgiętych nad wiedzą“.
„Modlitwa o Zbawienie“)

Tematycznie tom dzieli się na 4 części. Część I najmniej jednolita, rozpoczyna się ładnym wierszem „Do poety“, będącym niejako manifestem grupy „Próg“, która w zespołowym działaniu poety i chóru dla wielkiego Dobra widzi właściwą drogę teraźniejszości i przyszłości. Dalsze wiersze powstały jako wspomnienie niedawnej, a tak niesamowitej przeszłości wojennej.

Część druga „Płomienie nad czołem“ jest najabrdziej ważką i znamienną dla poznania osobowości autora. Obejmuje ono wiersze ideologiczne i daje konstruktywne rozwiązanie sprzeczności naszego czasu.

Ciekawy ekspresyjnie wiersz „Modlitwa o Zbawienie“, obrazująca tragizm tworzenia „Pieśń o chaosie i o kształcie“, wspomniały malarsko „Gniew Boży“, erotyk „Pieśń nad Pieśniami“, w którym razi nieco pewien patos niektórych wyrażeń, ciekawa formalnie „Ballada“, wspomnienie „Do przyjaciela“, przypominające nastrojem psalm żałobny „Requiescat in Pace“, chopinowski „Polonez wrześniowy“, wreszcie ekstatyczny śpiew „Przy Tobie Jestem“ — oto najlepsze utwory tej części, niezatarte w pamięci, głęboko w nas zapadające.

III część to piosenki, kolędy, satyra, fraszki i pełna wdzięku późno-średniowiecznych obrazków, opowieść o ostatnim na ziemi aniele.

Ostatnia część, najpóźniej powstała — wierszę morskie — jest może najdojrzalszą artystycznie ze wszystkich czterech. Uderza w niej przede wszystkim harmonia.

Formalnie w poezji Kiersta zaznacza się pewien wpływ awangardy. W wierszach spotykamy się z dużym bogactwem rytmicznym — od 7-zgłoskowych piosenek do szerokich trzynastogłoskowców Psalmów i Poematu. Najlepiej, najudatniej wypadły trzynastogłoskowce, w których poeta wypowiada się najpełniej. „Płomień nad czołem“ świadczy o poczuciu odpowiedzialności za słowa autora i jego możliwościach rozwoju.

Bogdan Ostromęski Popiół Niepodległy. Warszawa 1947. Nakł. Kat. Tow. Wyd. „Rodzina Polska“.

Debiutancki tom dzieli się na dwie części: „Światło nad ruiną“ pisane w czasach wojennych i powojenny cykl „Tym, któ-

ciszka Kłosa (16)

— Nie. I dobrze będzie, jak za pół godziny postawią.

Kłos przechadzał się nerwowo po niezmiernie brudnej i zaśmieconej papierami podłodze. Przesunął oczyma po urzędowych rozporządzeniach, po plakacie, gdzie ponury szpieg, udając, że czyta gazetę, przysłuchuje się rozmawiającym w przedziale kolejowym żołnierzom niemieckim. Naraz wzrok jego padł na wielkie drzwi poczekalni pierwszej i drugiej klasy z napisem: „Nur für Deutsche“. „Prawda, jestem już przecie Niemcem!“.

Śmiało wszedł do pustej sali. Nawet za bufetem nie było widać nikogo. Dopiero zbliżywszy się zobaczył, że jego znajoma folksdojczerka, panna Astrida Wagnerówna, zamiata podłogę przy pomocy małej szczotki i śmietniczki.

— Dzień dobry pani! Prosiłbym o jedną większą.

— Zaraz. Muszę najpierw trochę posprzątać.

Kłos czeka, oparłszy się o blaszaną barierkę przy ladzie. Korpulentna panienka gmerała się nielitościwie wolno. Zaczął podejrzewać, że czyni to umyślnie.

— Ja też już jestem Niemcem. Mam kennkartę.

— Dobrze, dobrze, ale muszę wprzód zamieść.

Zamiotła i zniknęła z pełną śmietniczką w drzwiach między szafami.

Kłos czekał i czekał, ale nie pojawiała się jakoś. Zaczął się niepokoić. A jeśli tymczasem pociąg mu ucieknie...

Wybiegł z poczekalni i zaraz wyszedł na peron. Czekało tu najwyżej ze trzydzieści osób i to prawie same kobiety z plecakami, z torbami od masek gazowych u boku, z bankami blaszanymi i z różnymi tobołkami. Z mężczyzn zobaczył tylko staruszka w ciemnych okularach i w czarnej rogatywce, czterech kolejarzy z teczkami i walizami, stojących w grupie, oraz młodego Czereśniewskiego bez prawej ręki, którą był stracił w czasie oblężenia Warszawy we wrześniu 1939 roku. Kłos krążył pośród nich, pozdrawiając znajomych z życzliwym uśmiechem, zagadując nieznajomych, co wiedzą o mającym nadejść pociągu, dowcipkując z kobietami. Czuł się podniecony i szczęśliwy.

Dawno temu, kiedy rozpoznawcza karta niemiecka była dlań niedoścignionym marzeniem, wydawało mu się, że gdyby ją otrzymał, dopiero by zaczął się srożyć wśród znienawidzonych rodaków: teraz jednak, kiedy się to ziściło na prawdę, przekonał się z pewnym zdziwieniem, że nie znajduje w swoim sercu dla tego skazanego na zagładę narodu niczego oprócz litości, a nawet życzliwości. „To dobrze“ — pocieszył się — „tak właśnie powinien postępować człowiek z narodu panów. Niemcy są głupi, że o tym nie wiedzą“.

Tymczasem pociąg nie nadchodził.

Kłos poszedł po peronie w kierunku Warszawy, aż dopóki nie wyminął wszystkich budynków stacyjnych. Pomimo, że było jeszcze zupełnie widno, latarnie przy zwrotnicach zostały już zapalone. Tak samo rząd opuszczonych poziomo semaforów świecił czerwonymi światłami. Przypominały one bomby na choince. Wogóle wszystko w tym dniu było uroczyste.

Zawrócił.

Przechodząc koło wejścia na stację, pomyślał, czy by nie spróbować jeszcze napić się wódki w bufecie. Postanowił jednak najpierw dojść jeszcze do drugiego końca peronu. Przez ten czas może będzie już jaka pewniejsza wiadomość, ile minut pociąg jest opóźniony.

Wyminął grupki czekających i znalazł się sam. Przed nim, tuż u końca lśniącego wachlarza szyn, wisiało nad widnokręgiem olbrzymie czerwone słońce. Świeciło tak słabo, że mógł w nie patrzeć bez zmrużenia powiek. Stąpał po wielkich kwadratach kamiennego chodnika, zapatrzony w olbrzymią tarczę. Naraz dostrzegł na jej tle dwie czarne sylwetki. Jakichś dwu mężczyzn szło mu na przeciw od strony przejazdu kolejowego. Poznał ich dopiero, gdy zrównali się z nim całkowicie.

Był to Mietek Sroka i Edek Kopuściak.

— Mietek! — zdziwił się. — Co ty tu robisz?

Z trudem zaczął sobie przypominać, że matka chłopca została zamordowana i że obu tych młodzieńców miał widzieć podczas bitwy na rynku w mundurach esesmanów. W tej chwili jednak był pewny, że było to przywidzenie. „Co to za pomysł?“. Doznał nawet uczucia radości, że ich spotkał. Może jadą tym samym pociągiem. Będzie miał przynajmniej towarzystwo.

Ale Mietek wyglądał, jakby przerażony.

— Pan... to jest... Kłos! — wykrzyknął nagle, jakby z ogromnym wysiłkiem.

Krępy Kapuściak błysnął w ręku niewiadomo skąd dobytym polskim pistoletem, visem.

— Ręce na kark! — powiedział cicho, ale dobitnie.

— Co to znaczy? — zapytał zdumiony Kłos, unosząc bezwiednie dłonie.

— Zaraz będziesz wiedział!

Kapuściak paru błyskawicznymi ruchami odpiął mu pochwę i wyciągnął rewolwer. Mietek Sroka tymczasem doskoczył na samą krawędź peronu i rozglądał się niespokojnie. Prawą ręką sięgnął do kieszeni po pistolet, ale nie wyciągnął go całkowicie. Widać było tylko koniec czarnej chropowatej kolby, zakończonej blaszką magazynka.

Kłos ciągle jeszcze nie mógł się połapać.

— Czego wy ode mnie chcecie? Nie macie chyba zamiaru mnie zabić?

— To się zaraz pokaże — warknął przez zęby Kapuściak. — A teraz naprzód! Jazda! Tam!

Wskazał lewą ręką w stronę przejazdu.

To już nie mogło budzić najlżejszych wątpliwości. „Więc to tak miałoby wyglądać? Ależ ja nie czuję najmniejszego strachu! Kogóżbym się zresztą miał bać? Takich szczeniaków? Oni przecie są sto razy bardziej spietrani ode mnie!“.

Nagle przyszło mu na myśl, że ten beztroski nastrój może mu minąć lada sekunda. Chodzi więc o to, żeby — Broń Boże! — nie zacząć myśleć. Wskutek tego odwrócił nieco twarz do stąpającego za nim Kapuściaka. Przekonał się, że Mietek Sroka jeszcze nie ruszył się ze swego posterunku.

— No, więc masz strzelać, to strzelaj, do cholery!

— Dalej, dalej, psiakrew!

Szedł więc prędko, żeby raz wreszcie zakończyć tę całą komedię. I żeby tylko nie zacząć myśleć. Obserwował dwa bliźniacze, różowe odblaski zachodzącego słońca, skacząc równocześnie po szynach. „Zupełnie, jak jakieś czerwone pchły. Albo jak koniki polne. Nie, koniki polne nie skaczą w prostym kierunku. Ciekawość, gdzie oni mnie prowadzą?“. I naraz uprzytomnił sobie. „To tutaj gdzieś przecie zastrzeliłem Walusiaka!“. Chwycił go nigdy dotychczas nieznany przeogromny żal. „To już teraz?“. Rzeczywiście teraz przypomniało mu się jakieś wielkopostne kazanie proboszcza, wzywającego do pokuty, „bo nie ma większej tragedii na świecie, jak zmarnowane życie ludzkie!“. Tak, nie było najmniejszej wątpliwości, że zmarnował swoje życie. Nie tylko swoje, bo i życie matki, i ojca, i żony, i dzieci. Wszystkie te istoty kochały go przecie. Nie mógł już więcej o tym myśleć. Znowu zwrócił się do Edka Kapuściaka.

— No, strzelaj nareszcie!

— Dalej! Dalej!

Wobec tego podniósł głowę i zaczął się rozglądać. Nie, nie było obawy, żeby się miał rozpłakać. Tylko tyle, że smutek przenikał mu wszystkie członki, smutek ciężki, beznadziejny, ostatni...

Po drugiej stronie toru stał rozgrodzony park, który kiedyś jeszcze przed pierwszą wojną światową należał do dworu. Potem mieściła się tam szkoła rolnicza. Obecnie budynki leżały w gruzach, zbombardowane jeszcze we wrześniu 1939 roku. Kłos patrzył na różową od zachodu ścianę białych brzóz. Wydały mu się tak zapatrzone w znikające słońce, że aż pogrążyły się w jakiś półsen niezmiernego zachwytu.

Spojrzał więc tam, gdzie i one patrzyły. Jego wzrok poślizgnął się błyskawicą po lśniących szynach w niezmierzoną dal, aż tam, gdzie właśnie zgasł ostatni skrawek tego źródła wszelkiego istnienia i wszelkiej radości na ziemi.

I wtedy ostatnim wysiłkiem wydobył się raz jeszcze na powierzchnię niezgruntowanego i przez nikogo z żyjących niezaznanego dotychczas smutku, przypomniał sobie tyuł jakiegoś filmu, jakiejś książki, czy może jakiejś piosenki:

„Jutro znów będzie słońce!“.

Dokończenie nastąpi.

---

rzy przeszli“. W I części, w wierszach tworzonych podczas najcięższych lat okupacji 1942 i 43. z bolesnych przeżyć wyłaniają się nie tylko zarysy nadziei, lecz pewność zbawienia, przemiany zła i mroku w nieśmiertelne światło. Poeta akcentuje nie grozę i patos tragizmu tych dni, lecz wiarę w wyzwolenie.

W wierszu „Gwiazda pisze:

„To my — w skupieniach, w wymiarach
innych, w kształtach widzący inaczej
zespalający w jedność
Ciebie chwytamy o miasto — o życie —
o tłumie
sceny, zjawiska, istnienia —
my — żeby tylko przez miłość prawdę
zobaczyć.
żeby jeszcze w oddechu ostatnim
Twój sens powszechny
zrozumieć“.

Ze słów tych bije wprost whitmanowskie upojenie życiem. Poczucia związku z wszechświatem nic nie zdoła w poecie osłabić, naruszyć, przeciąć — żadne okrucieństwo, żadna ohyda, żadna rozpacz Gdyż poeta sam w sobie nosi ocalenie — w sercu swym ukrywając świat Miłość która jest prawem stworzenia i poruszającą przyczyną zjawisk, bije w nim jednakim rytmem.

„Te Deum laudamus“ kończy pierwszą część wspaniałym hymnem na cześć Bożej Mocy, która „odsłoni ciszy kościoły z konturów nienawiści“.

W części drugiej, w wierszu „Inaczej“ znajdujemy wyznanie poety, dotyczące własnej twórczości.

„Takby się wiersz zaczynał,
jakbym tylko liśćmi szeleścił,
jakbym chwytał iskierki w źrenicach
dziecka, kiedy patrzy pod słońce.
jakbym widział obłok
na dnie“.

Ta część zbioru napisana już po przeżyciu straszliwej grozy powstania i ostatniej, koszmarnej zimy wojennej ma charakter bardziej surowy, tragiczny, męski — wymowniej też przemawia z niej rygoryzm moralny autora i jaśniej ukazana jest droga wyjścia z otchłani. Najbardziej przemawia do nas i porusza do głębi nasze sumienie wiersz „Tej wiosny“ — wstrząsający obraz demonicznego dzieła człowieka - niszczyciela. Podobnie głębokie wrażenie rodzi w nas „Karta wieku atomowego“: głos Chrystusa, przeżywającego w Ogrodzie Oliwnym całonocną mękę wszystkich wieków zdrady i wszeteczeństwa odkupionej przez się ludzkości.

Pewne osłabienie nurtu poetyckiego widzimy w zakończeniu, gdzie Ostromęcki chciał dać wyraz bardziej obiektywnemu aspektowi rzeczywistości: krajobrazowi, pracy ludzkiej. Ostromęcki stanowi typ wybitnie liryczny i dlatego udaje mu się doskonale chwycić nie obraz świata, ale jego odczuwanie, przeżywane przez pryzmat własnej osobowości. Kiedy tkwi we właściwym sobie klimacie przeżyć religijnych, metafizycznych i uczuciowych, dla których konkretna, uchwytna zmysłowo wizualność staje się jedynie węzłem skojarzeń — przejawy życia zewnętrznego stanowią dla niego pewnego rodzaju bodziec.

Całość zamyka interesujący wiersz „Spełniony“. W kilku, zdawałoby się prostych, a tajemnicą natchnienia związanych wyrażeniach odtwarza się w nas sekret i właściwy rdzeń samotności człowieka i — zwycięstwa nad samotnością przez wszechogarniającą miłość.

Twórczość Bogdana Ostromęckiego nie należy do łatwych i jasno zrozumiałych. Jej piękno nie apeluje do naszego intelektu lub wyobraźni, natomiast zrozumią ją łatwo ci, którzy obdarzeni są instynktem metafizycznym.

Haliną Kamieniecka.

Tydzień kulturalny

W ROCZNICĘ ŚMIERCI WIELKIEGO MUZYKA

PRZED dziesięciu laty zmarł po dłuższej chorobie Karol Szymanowski, największy z kompozytorów z okresu „Młodej Polski“. W historii muzyki polskiej był on zjawiskiem niepowszednim, godnym najwyższej rangi artystą, jako twórca nowego okresu rozwoju muzyki współczesnej. Dzieła, jakie pozostawił, rozsławiły szeroko nie tylko Jego imię, lecz i kraj, który go wydał. Był on jednym z niewielu obok Chopina — którzy dzięki swej wielkości przekroczyli progi ojczyste i stali się własnością świata. A jednak muzyka Jego jest organicznie związana z ziemią, która Go wydała: powstała z ducha narodowego i jego elementów w najczystszych i najprostszych jak zgrzebna nuta pieśni ludowej.

Oto garść nieporadnych wzruseń, wypowiedzianych w rocznicę odejścia na wieczny spoczynek Wielkiego Muzyka.

WIELKIE DNI TEATRALNE POZNANIA

PRAWIE że jednocześnie zbiegł się cały szereg doniosłych wydarzeń kulturalnych na terenie Poznania. W jednym tygodniu odbyły się trzy premiery, z czego jedna z nich — sztuki znanego poety Wojciecha Bąka, była prapremierą.

Państwowy Teatr Polski wystawił „dwa teatry“ Jerzego Szaniawskiego w reżyserii Karola Borowskiego. Jest to już piąta premiera tej sztuki na ziemiach polskich. Wystawiano ją w Krakowie, Toruniu, Katowicach i Warszawie.

I jeszcze a propos „Dwóch teatrów“. Na tle przeżywanej przez nas klęski powodziowej, jakże mocnym akcentem najpełniej pojętego realizmu wzrusza w akcie drugim tej sztuki jednoaktówka p. t. „Powódź“. Choćby tylko w tej przejmującej do głębi scenie ukazuje się Szaniawski jako dramaturg najwyższej klasy, pełen zrozumienia dla tragedji ludzkiej. „Dwa teatry“ jest sztuką przepojoną pierwiastkami humanistycznymi i to przede wszystkim stanowi o jej wartości.

Prapremiera sztuki Wojciecha Bąka pt. „Sługa Don Kiszota“, odbyła się w Teatrze Nowym i została niezwykle owacyjnie przyjęta przez publiczność poznańską. Obecnemu na premierze autorowi widownia zgotowała naprawdę gorącą i spontaniczną owację. Kiedy ujrzymy „Sługę Don Kiszota“ na innych scenach Polski?

Trzecim wydarzeniem była zdawna oczekiwana w Teatrze Wielkim premiera „Aidy“.

ZGON UCZONEGO

DNIA 23 marca 1947 r. zmarł po pięciotygodniowej chorobie ś. p. dr. Stefan Dąbrowski, profesor zwyczajny chemii fizjologicznej Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Poznańskiego, członek czynny Polskiej Akademii Umiejętności.

Ś. p. prof. Dąbrowski wybrany został w r. 1939 rektorem U. P. Objęciu rektoratu przeszkodził wybuch wojny. Dopiero w marcu 1945 obejmuje ster Uniwersytetu i prowadzi go do września 1946. W czasie okupacji hitlerowskiej prof. Dąbrowski był szczególnie czynny w szkolnictwie konspiracyjnym, prowadząc poza tym pracę naukową.

Prof. Dąbrowski był jednym z najwybitniejszych katolickich działaczy społecznych i naukowców w Polsce.

Dla życia katolickiego i kultury polskiej jest to niewątpliwie tragiczna strata.

„NOWINY LITERACKIE“

UKAZAŁY się dwa numery „Nowin Literackich“. Poza naprawdę imponującą szatą graficzną pisma trudno jest jeszcze coś bardziej realnego o nim powiedzieć, gdyż nie wiemy, czy płaszczyzna, jaką przyjęły „Nowiny“, zostanie utrzymana i w jakim kierunku pójdzie rozwój pisma.

Zygmunt Jakimiak

Nauka w walce z poglądem na świat?

Wrażenie, jakiego doznałem przy czytaniu arcyciekawego artykułu docenta uniwersytetu Jagiellońskiego pana Arkadiusza Piekary p. t. „Filozoficzne konsekwencje zasady nieoznaczoności", zamieszczonego we wrześniowych „Problemach", mogę streścić w obiektywnym stwierdzeniu: Fizycy są niepoprawni.

Wspaniały rozwój fizyki, od czasów Newtona, zadziwiający szczególnie w XIX wieku, natchnął odkrywców i wyznawców tej dziedziny nauki uczuciem dumy, ba, często zarozumiałości, przechodzącej w pychę. Fizyka, mówili oni, tłumaczy świat dostatecznie. Po co jakaś tam metafizyka? Świat jest urządzony prosto, według zasady przyczynowości, t. j. determinizmu. Wszystko odbywa się według równań matematyki. I t. d.

Pycha ta została sromotnie ukarana. Dokonali tego właśnie sami fizycy XX wieku, których badania atomowe obaliły determinizm. Dziś fizyk, choćby i sam p. Piekara, tylko z lekceważeniem, jeśli nie z pogardą, wspomina determinizm.

Wszelako na miejsce pychy przodków przychodzi pycha synów. Artykuł p. Piekary tchnie poczuciem niemałej wyższości nie tylko nad deterministami ale i nad wszelkimi metafizykami. Jakże wyniośle brzmi ustęp: „(fizycy) wiedzą o czym mówią. I dlatego ich wypowiedzi mają wielką wartość".

Dlaczegóż to fizycy wiedzą o czym mzwią: p. Piekara twierdzi, że dlatego, iż mówią o rzeczach, które mogą zmierzyć i mierzą. Jest to zasada Lorda Kelvina i ona to daje fizykom pierwszy powód do dumy.

A cóż takiego ważnego fizycy wiedzą? Przede wszystkim poznali oni prawa świata atomowego. P. Piekara podkreśla z tryumfem jego odrębność od świata makroskopowego. Inne w nim rządzą prawa. O ile w makrokosmosie rządzi determinzm, to w mikrokosmosie panuje absolutny indeterminizm. O ile w pierwszym warunki obserwacji nie wpływają na przebieg i wynik doświadczenia, o tyle w drugim samo narzędzie i podmiot obserwacji zniekształcają je tak dalece, że trudno mówić o jego obiektywnej wartości. W drugim jest taka realna sprzeczność, jak dwie formy, pod którymi się objawia obiekt fizyczny: fala i kwant. Obie te formy wzajemnie się wykluczają. Nic podobnego nie zachodzi w świecie rzeczy dużych. To też fizycy rezygnują z obiektywizacji na korzyść poglądowości.

P. Piekara długo i szeroko opisuje, tłumaczy i ilustruje szczególnie zasadę nieoznaczoności, jako najnowszą zdobycz fizyki. Można ją streścić krótko jako niemożność jednoczesnego dokładnego wyznaczenia dwóch objawów zachowania się elektronów: położenia i pędu. W związku z tym dzisiejsi fizycy zrezygnowali z klasycznego modelu atomu Bohra, a do wyznaczania położenia elektronu posługują się tylko rachunkiem, ba, falami prawdopodobieństwa, których przebieg wyznaczony jest równaniem Schrödingera.

W zakończeniu p. Piekara z dumą podkreśla niemożność utworzenia naukowego światopoglądu, bo nauka, czyli poznanie ma granice, których nie przekroczy. Zupełnie jak w psalmie: Terminum posuisti, quem non transgredientur. Metafizykę uznaje za bezwartościową. „Dzisiaj wszelkiej metafizyce odmawiamy wszelkiej wartości poznawczej... myśl ludzka chętnie wybiega poza surowe ramy nauki, ...by w świecie fantazji szukać odpowiedzi na nierozwiązane zagadki... światopogląd... nie jest nauką, przeciwnie jest ucieczką od niej" itd. Przestrzega przed stosowaniem światopoglądu w badaniach naukowych przytaczając odpowiednie opinie profesorów Natansona i Whitehead'a.

Jak widzimy, fizycy dzisiejsi są dumni głównie z tego, że — tak mało mogą i chcą powiedzieć. Rezygnacja z oznaczoności, rezygnacja z objektywizacji, rezygnacja ze ścisłości doświadczalnej, rezygnacja z próby wyjaśnienia sprzeczności. Czyż to jest powód do dumy? Gwałtowne porzucenie początkowej pychy, a obranie wiodącej do prawdy pokory, zwiększającej się w miarę rozszerzenia poznania, również, jak się okazuje, nie jest bez niebezpieczeństw. Jak mówi św. Bernard: „Pycha nawet zwyciężona zwycięża". W końcu rezygnacja ze światopoglądu. To już stanowczo za daleko posunięta pokora. I nieprawdziwa, jeśli gardzi inną dziedziną.

Sprawdźmy jeszcze i te — skromne ilościowo — powody do dumy. Już zasadnicza teza artykułu p. Piekary — fizykom nie wolno mówić o tym, czego nie mogą zmierzyć — nasuwa poważne wątpliwości. Niewątpliwie fizycy mierzą. Ale czy dokładnie? Czy ich pomiary są ścisłe? Nie, tego nie powie żaden fizyk. Najściślejsze pomiary fizyczne są tylko przybliżone. Weźmy np. podstawę miary długości — metr. Miała to być jedna czterdziestomilionowa długość południka. Cóż się okazało po sprawdzeniu? Wzorzec różnił się od tej 1/40.000.000 południka o horendalną wielkość — o grubość ludzkiego włosa. Pomnóżmy tę wielkość 40 milionów razy, a otrzymamy niedokładność pomiaru pierwotnego. A i ten drugi pomiar też nie był dokładny ścisłe. W ten sposób nasza miara długości została ogołocona z wartości empirycznej, a pozostała jej tylko wartość — fikcyjna. Tak jest w makrokosmosie. Cóż dopiero za niedokładność musi panować w pomiarach mikrokosmosu. Jeśli fizycy nam mówią, że atom waży którąś tam milionową część miligrama, czy, że elektron ma jakąś tam bilionową część mikrona średnicy, to już bądźmy pewni, że niedokładność może wynosić — powiedzmy skromnie — kilkakrotną wartość rzeczywistej wielkości. I znów jesteśmy pozbawieni dokładności, pomiar nie odtwarza rzeczy, lecz w wielkiej części daje nam fikcję.

Tak więc sama podstawa dumy fizyka jest bardzo wzruszalna. A z tego właśnie można wyciągnąć niewzruszalne wnioski — metafizyczne. O tym jednak powiemy we wnioskach. Tymczasem rozpatrzmy jeszcze inne twierdzenia p. Piekary, na które wskazuje dumnie, jako na najnowsze zdobycze wyłącznie fizyki.

Sprzeczność fali i kwantu? Gdzie sprzeczność? To jest oczywistość logiczna i empiryczna. Weźmy wodę falującą, powietrze drgające, szybę, słup telegraficzny itp. w stanie drgania. Czy nie ma tu wszędzie fali i kwantu, t. j. drgania i energii? Wszędzie również jest materia, która daje podstawę do tych dwóch objawów. A kwant przecież również posiada masę, co p. Piekara sam powiada. Może p. Piekara powie, że jestem laikiem i nie wiem o czym mówię. W takim razie byłaby to jego wina, że nie dobrze objaśnił istotę sprzeczności. Ja opieram się tylko na tym, co znalazłem w jego artykule. Wiem również, że ks. De Broglie falę przypisał materii, a więc wodzie słupowi i t. p. i dostał za to nagrodę Nobla. Trudno dojrzeć mi sprzeczność między przedmiotem, a jego objawami. Wdzięczny byłbym za jej ukazanie.

Wpływ podmiotu i narzędzi doświadczenia na przedmiot? Ależ owszem, w makrokosmosie jest on również niemały. Podmiot, t. j. obserwator, zawsze wpływa na doświadczenie swą wolą. Jak gdzieś powiedział prof. Łukasiewicz, uczeni znajdują to, co chcą znaleźć. Wola szukania jest zawsze określona z góry.

Również i narzędzie wpływa na przebieg doświadczenia w makrokosmosie, a to głównie — celowością swego urządzenia. Notuje ono to, na co jest nastawione. Weźmy przykłady.

Gdyby jakiś biolog badał p. Piekarę przez mikroskop, to kto wie, czy nie uznałby go za — mikroba — niekoniecznie chorobotwórczego. Gdyby go badano aparatem fotograficznym, wówczas negatyw ukazałby — murzyna, osobliwego coprawda, bo o wąskich wargach i czarnych białkach ocznych. Gdyby go badano oczami noworodka — ujrzanoby go ze zdziwieniem do góry nogami. Gdyby, w dalszym ciągu (tylko w fantazji) p. Piekarę badano metodami analizy fizycznej i chemicznej (wagowa, miareczkowa, odczynniki) — czego by w nim nie wykryto! — A każdy aparat dałby obserwację prawdziwą w stosunku do celowości swego urządzenia. Stąd wniosek: nie tylko w mikro, ale i w makrokosmosie podmiot i narzędzie zniekształcają doświadczenie.

Fizycy dlatego tylko tak separują mikrokosmos od makrokosmosu, że go mało znają. Że patrzą na niego właśnie oczami noworodka i wszystko wydaje im się zadziwiające. Gdy go poznają lepiej, wówczas oba kosmosy się upodobnią bezwątpienia.

A więc fizyka i fizycy mają jeszcze mniej powodów do dumy i wynoszenia się nad innych, niż sami o tym wiedzą. Nawet to, na czym się opierają, co wykryli ostatnio, nie jest niczym niewzruszonym, ani nowym.

Nie znaczy to, bym miał fizyką gardzić, czy potępiać fizyków. Przeciwnie, z entuzjazmem studiuję, gdzie tylko znajdę ich wypowiedzi i komunikaty z ich pracowni. Ale niechże będą wierni raz przyjętej drodze pokory, niech badają, formują równania. Ale niech nie pogardzają innymi. I niech, w myśl przytoczonych przez p. Piekarę wskazań prof. Natansona, nie przedzierzgają się w metafizyków.

Po materiał na garnitur idziemy do tkacza. Lecz po krój i uszycie zwracamy się do krawca. Fizyka — to część, ważna i wielka część ludzkiego poznania, które odkrywa coraz nowe własności rzeczy. Ale światopogląd tworzy filozofia, a w niej niemałą rolę gra metafizyka. Jej to powinna fizyka oddać swój materiał do skrojenia i uszycia światopoglądu. Bo poza doświadczeniem jest jeszcze logika, abstrakcja, kojarzenie itp., które mają wymogi, rzadko tylko przez niespecjalistę spełniane.

P. Piekara, niezwykle interesujący i świeży, póki mówi o atomie, falach itp., staje się banalny i nietrafny, gdy wkracza na grunt filozofii. Bo choć wymaga od fizyków, by nie mieli światopoglądu, by jak najdalej trzymali się metafizyki, by mówili tylko o tym, co mierzą, przecież wygłasza sądy filozoficzne nie małej wagi.

Wyjaśnijmy tu tę sprawę bliżej. Czło-

Janusz Jasieńczyk

„A msza zawsze się odprawia..."

(Wyjątek z książki „Po Narviku był Tobruk")

— Dominus Vobiscum.

— Et cum Spiritu Tuo.

Na zewnątrz głuche, zduszone:

— Pum — pauza — i znowu: Bu um, bu-um-pum.

To dalekonośna, pewnie 205-tka. Wybuchają na górze: skała gruba, można się modlić spokojnie.

To odzywa się brzęczyk telefonu Plu-

To odzywa się brzęczek telefonu. Plutonowy podnosi słuchawkę. Mówi cicho, aby nie przeszkadzać kapelanowi, ale wyraźnie, by go rozumiano tam, na drugim końcu linii:

— Tu Tygrys I. — Słucha się — mówić! mó-wić!

Ksiądz odwrócił się od ołtarza, rozkłada ręce.

— Orate fratres.

— Cezar nie może podejść. Zadzwońcie za pół godziny. Mó-wi się, mówi się. Po poczte wyślemy. Dzielna zawiadomiona. Wy-łą czam. Wy-łą-czam.

— Sequentia Sancti Evangelia secundum Joannum.

Wszyscy wstają. Ksiądz odczytuje ewangelię. Plutonowy z łączności odszedł od aparatu, stanął wraz z innymi, wyjął książeczkę do nabożeństwa. Modli się, ale część świadomości skierował na zwoje drutów i słuchawki: w każdej chwili może odezwać się, gdyby wzywano Tygrysa.

Tak to dziwacznie wygląda msza święta gdzieś na polskim odcinku w Tobruku.

Wielka jaskinia dowództwa Batalionu: pozostałość po gigantycznej pracy wód morskich, które kiedyś, przed tysiącami lat, gdy ta część Cyrenajki była jeszcze dnem morskim lub brzegiem, wyżłobiły w wapiennych skałach sporo takich naturalnych schronów dla późniejszych ludzi i zwierząt. Praca człowieka uzupełniła tu i ówdzie dzieło natury. Tu na przykład rozszerzono nieco otwór, stanowiący okno, a zarazem drzwi, przez które schodzi się na dół do groty po schodkach ze skrzynek od amunicji, wyrównano w niektórych miejscach ściany, wybito drugie małe, okienko dla wentylacji i światła, pozbierano rozrzucone wewnątrz kamienie i ułożono z nich pośrodku skalnej komnaty dość foremny równoległobok.

Na lewo od wejścia mieści się centrala telefoniczna. Z góry zwisają dziesiątki drutów w różnobarwnych izolatorach. Wszystkie zbiegają się do niewielkich szafek, pełnych dziurek i wtyczek. Z boku zawieszona słuchawka. Obok stołu, dźwigającego te ważne instrumenty łączności, jakaś paka zastępująca krzesło. Tu rezyduje dyżurny-telefonista.

Dalej w głębi jest kuchnia, wcale dobrze wyposażona. Wielki prymus kompanijny na benzynę lub ropę, różne garnki, menażki, kubki, mnóstwo puszek z konserwami, jakieś słoiki — słowem niezgorsze laboratorium gastronomiczne.

Dawniej stały tu także wodniki z wodą, ale dziś już ich nie ma. Polacy wprowadzili małe ulepszenie w tej dziedzinie: lokalny wodociąg. Od sufitu w sąsiedztwie drutów telefonicznych zwisa cienka gumowa rurka. Gdy kucharz naciśnie sprężynkę, woda z postawionej na górze, koło wejścia, beczki leje się prosto do garnków: oszczędność pracy i wody, której nie trwoni się przy rozlewaniu do wodników.

Na prawo od wejścia jest biuro dowództwa Batalionu. Szereg skrzynek z aktami, parę krzeseł i stolików polowych. Na nich rozłożone mapy, pióra, jakieś linijki z podziałkami. Na jednej z pak maszyna do pisania, dziś starannie nakryta pokrowcem.

Gdy wejdziesz do jaskini w dzień, wprost z silnie nasłonecznionej pustyni, nic więcej w niej nie zobaczysz. Dopiero gdy wzrok przywyknie zwolna do panującego tu mroku, ujrzysz na prawo w głębi prycze, łóżka, legowiska, dalej pod ścianami, skąpo oświetlone dodatkowym małym okienkiem plecaki, karabiny, celty i płaszcze sypiających tu żołnierzy i podoficerów.

Jaskinia jest duża — śmiało może pomieścić ze dwunastu ludzi, choć stale mieszka tu zaledwie paru oficerów i kilkudziesięciu szeregowych — ochrona dowództwa.

Patrząc z zewnątrz nikt by nie podejrzewał, że pod niewielkim skalistym pagórkiem, jakby kurhanem, wznoszącym się w pobliżu niezbyt głębokiego jaru, może się mieścić tak obszerny schron podziemny. Wygodny i bezpieczny, bo skalne ściany są grube — nie przebije ich żaden pocisk najcięższej artylerii, ani bomba lotnicza. Chyba tonówka, ale tego kalibru nie używają w pustyni.

W tej jaskini odbywają się od czasu do czasu msze święte.

Odsunięto na bok stoliki, pośrodku stanął skromny ołtarzyk polowy — wszędzie można go przenieść, bo cały mieści się w niewielkiej walizce.

Pieczara — dzisiaj kaplica — pełna żołnierzy różnych stopni. Większość z bronią: karabiny, pistolety, bagnety, hełmy stalowe przewieszone przez ramię, maski p—gaz. Twarze spalone słońcem, wygolone na sposób angielski, surowe. Niektórzy mają książeczki do nabożeństwa: ci stoją bliżej wejścia, gdzie padające z góry promienie umożliwiają czytanie. Większość modli się z pamięci— odmawia różaniec lub zwykły, codzienny pacierz.

wiek nauki nie powinien być w laboratorium **uprzedzony.** Ale człowiek nauki bez światopoglądu jest nie do pomyślenia. Człowiek bez światopoglądu nie zechce być człowiekiem nauki. Po co? A gdyby się i znalazł taki naukowiec, to byłby on nie twórczy, bo nie miałby on bodźca, popędu do badania. Właśnie ta wola szukania prof. Łukasiewicza jest chyba najsilniejszym źródłem życia nauki.

I fizycy mają światopogląd. Cóż bowiem oznacza, z czego wynika rezygnacja z obiektywizacji, o której tak szeroko pisze p. Piekara? Z uznania metafizycznego prawa tożsamości. Ponieważ fizyk nie może być pewny, a raczej jest pewny, że obserwowane objawy obiektu fizycznego, np. pęd i położenie elektronu, lub falj i kwantu, nie odnoszą się do tego samego obiektu, dlatego rezygnuje z obiektywizacji. A ileż to dedukcji, hipotez, teorii znajdujemy w fizyce! Są to wszystko metody metafizyki.

Lecz wróćmy do filozoficznych sądów p. Piekary i innych fizyków. Głoszą oni bankructwo determinizmu w mikrokosmosie. Jak fizyk pojmuje determinizm? Pan Piekara określa go, jako prawo, nakazujące nieuniknione następstwo określonego stanu po określonym stanie poprzedzającym. Tak pojmuje fizyk determinizm i prawo przyczynowości. P. Piekara oznajmia, że wprawdzie w makrokosmosie prawo to działa, bo stan poprzedni możemy ściśle określić. Na tym są oparte wynalazki, które umożliwiły maszynizm i wogóle przemysł i komunikację. Natomiast w mikrokosmosie nie możemy ściśle określić stanu poprzedzającego i dlatego nie możemy przewidzieć stanu przyszłego. Dlatego w mikrokosmosie panuje wszechwładny indeterminizm.

Trudno jest szczegółowo te poglądy krytycznie rozstrząsać. Ale filozof, metafizyk nigdy by tak nie mówił. Wstydziłby się. Przyczynowość, determinizm może on pojmować tylko w sposób ogólny, a konkretny i absolutnie pewny, (mimo przestróg prof. Whitehead'a), że wszelki skutek w świecie musi posiadać przyczynę, że wszelka cecha zewnętrzna musi posiadać odpowiednik wewnętrzny, że cokolwiek się dzieje, dzieje się dlaczegoś. I fizycy uznają to prawo, tylko go nie głoszą, może dlatego, że je uznają za tak oczywiste, że aż banalne. Przecież cała metoda naukowa fizyki oparta jest na wnoszeniu ze zjawisk o rzeczach. Każde doświadczenie daje tylko pewien przebieg zjawisk. Fizyk szuka ich przyczyn.

Otóż to prawo działa wszędzie. W mikrokosmosie tak samo, jak i w makrokosmosie. Inna rzecz, czy znamy przyczyny, czy nie. Ale indeterminizm, który by głosił, że jest coś nieokreślonego wogóle, że coś w świecie może nie mieć przyczyny, lub że coś może nie mieć skutku, byłby absurdem, bo byłby sprzeczny z logiką i oczywistością.

Więc indeterminizm w mikrokosmosie możemy przyjąć tylko w odniesieniu do umysłu ludzkiego, który nie może określić przyszłego stanu danego obiektu, czy układu obiektów. A nie może tylko dlatego, że nie zna, nie może określić stanu poprzedzającego, lub wewnętrznych właściwości przedmiotu. Stąd niespodzianki. Elektron, w takim czy innym stanie, zachowuje się inaczej, niż inny elektron w takim samym stanie, inaczej niż obserwator się spodziewał. Jednakże każdy obiekt posiada swoją przyczynowość, zachowuje się tak, jak mu nakazuje jego wewnętrzna struktura i skład.

Przepraszam. Tu może zajść nieporozumienie co do tego terminu. Determinizm był uważany kiedyś za najsilniejszą pozycję materializmu, czy, co jeszcze gorzej, idealizmu. W gruncie rzeczy jeden wart drugiego, jak to mówi pror. Natanson, a oba — może złamanego szeląga. Determinizm był w tych światopoglądach ekstrapolowany, jak mówi p. Piekara, tj. rozszerzany z rzeczy na ich relacje. Ba, same relacje tak w owych filozofiach się wzmocniły, że z wszechświata zrobiła się jedna rzecz, całość, a indywidualne rzeczy zaginęły w niej. Takim właśnie wszechświatem, taką organiczną całością rządziło absolutnie prawo przyczynowości, tj. determinizmu.

Lecz filozof, nie uznający materializmu, ani idealizmu, nie uznaje też organicznej jedności świata (monizmu), a uznaje odrębność, niezależność, indywidualność mnóstwa rzeczy, tj. bytów we wszechświecie. Wszechświat jest zrzeszeniem tych rzeczy. I o ile filozof taki uznaje konieczność istnienia porządku, tj. ługiki, przyczynowości w samych rzeczach, to zarazem twierdzi, że w każdej rzeczy ta przyczynowość jest tak odmienna, oryginalna, jedyna w świecie, jak różną, odmienną, jedyną jest sama dana rzecz. Każda bowiem rzecz ma swoją indywidualną istotę, inny układ. Dlatego każda będzie się w relacjach (stosunkach) z innymi rzeczami inaczej, niż inne, zachowywać. W tych samych warunkach każda inaczej „będzie się czuła“. Stąd u fizyków przedwczesny, a nielogiczny indeterminizm.

Otóż taka przyczynowość, w odróżnieniu od monistycznego determinizmu, nazwijmy autodetermizmem. Żeby nas nie wzięli za materialistów, czy idealistów. Każda rzecz jest określona sama w sobie przez swą budowę, przez pomysł, jaki w niej jest zrealizowany. O tym pomyśle, planie rzeczy myślał pewnie Jeans, kiedy pisał w zakończeniu swej książki „Nowy świat fizyki“, że nauka coraz mniej zajmuje się materią, która ucieka przed badaniem, a coraz więcej planem świata i rzeczy, ich matematycznym pomysłem, który zostaje odsłaniany jako jedyna realność.

W takim światopoglądzie, już metafizycznym, nie fizycznym, wszystko jest jasne. Ciała fizyczne nie mogą być dokładnie zmierzone, tylko z dokładnością do... do czego? Do ilu? Do 1/10ⁿ mm. Dlaczego? Bo każde ma miarę tylko dla siebie, ma wymiary tylko jedne, sobie właściwe na świecie. To samo dotyczy innych własności, które bada fizyka — ciepło właściwe, ciężar właściwy, wszelkie współczynniki. Każdy ma własny, jedyny t. zw. czas, tj. następstwo działania, które uniemożliwia fizykom jakąkolwiek jednoczesność i zmusza do rezygnacji z oznaczoności i obiektywizacji. Każde jest tylko sobą, ucząc nas w ten sposób prawa tożsamości. Każde ma sobie tylko właściwą logikę, przyczynowość, która zmusza zdezorientowanych fizyków do uciekania się aż do antylogicznego indeterminizmu. Każde ma inne relacje, inną wewnętrzną strukturę, a równania matematyczne fizyków zdają z jednych i drugich sprawę. Każde ma swe granice, które znów odkrywa matematyka. W ten sposób liczba decyduje o istocie i granicach rzeczy. Liczby niewymierne, to dowód na nieciągłość świata — odpowiednik niewspółmierności rzeczy.

Takie konsekwencje wyciąga z fizyki metafizyk. Fizycy, badajcie świat i komunikujcie swe odkrycia filozofom. Przestańcie nimi pogardzać, ale traktujcie ich jako pomocników, niezbędnych w budowaniu światopoglądu, który jest konieczny dla umysłu ludzkiego, jest jego życiem,, radością, podstawą i podnietą do twórczości, nie tylko naukowej, ale i artystycznej, społecznej i wychowawczej.

Zygmunt Jakimiak

Marek A. Wasilewski

POWSTAŃCZA GWIAZDA

W dzielnicy zburzonych kapliczek
Cienie wędrują po lochach,
Sople jak stalaktyty zwisają kłami
białymi.

Gwiazdy na niebie chcę liczyć,
Bo tutaj uczyłem się kochać
To, co być mi powinno nad wszystko
droższe na ziemi.

Latarnie — żelazne szlabany,
Zatarte przeszłości tablice
I werble bijące głucho, jak wówczas, też
w listopadzie.

Oczodół — to pusty łuk bramy,
Kilka stłuczonych doniczek
I gorycz, co mówi o klęsce i prawda, co
szepcze o zdradzie.

W łazienkach wysłanych kilimem
Z brązowych, przegniłych plam liści,
Podchorążowie wpatrzeni sto lat czekają
na łunę.

W wichrze płomieni i dymie
Czyściec Warszawy się iści,
Powstaniec wypija kielich z krwią
przepojoną piołunem.

Gwiazdy na niebie dodaję,
Szukam tam gwiazdy powstańczej,
Szukam i głowę zadzieram, patrzę aż bolą
mnie oczy.

Sieć rzucam w niebieskie rozstaje,
Jak rybak na połów swój patrzę
I gwiazdy szukam w chmur kłębach,
zwycięskiej, najbardziej uroczej.

Przewracam jedwabne mgławice,
Po konstelacjach się grzebię,
Niebo rozcinam jak worek — szabrownik
niebieskich przestworzy.

Srebrnik mam w ręku księżycem,
A cień rozwalonych wpół sklepień,
Oddartych jak ciało od kości, na sercu mi
się położył.

I smutek, i rozpacz, i cisza,
I gwiazdy nie znajdę już żadnej,
Więc płacząc niemęsko, wargj do krwi
słoności zagryzam.

Nikt mnie nie widział, nie słyszał,
Jak twarzą w cegły upadłem
I cud! Wśród cegieł błysnęła gwiazda na
wstędze od Krzyża.

Msza jest cicha, bez organów, bez fisharmonii. Później pod Gazalą zdobyliśmy na Włochach małą polową fisharmonię. Naprawiono ją szybko i na Boże Narodzenie mieliśmy w szczerej pustyni nabożeństwo z muzyką, niemal jak w Polsce.

Ofiarowanie. Kapelan cicho szepcze łacińskie słowa modlitwy.

Srebrzysty dzwonek ministranta miesza się z głuchymi wybuchami nieprzyjacielskich pocisków. Teraz brzmią trochę inaczej: poznajemy szrapnele.

Czasem w odpowiedzi służącego do mszy żołnierza wpada ostry brzęczyk telefonu i wyraźny głos dyżurnego telefonisty, wymieniającego liczne kryptonimy oddziałów i dowódców. Rozmowa brzmi zawile, tajemniczo: przypomina trochę paplaninę dzieci, bawiących się w dzikich czerwonoskórych: Tygrys — Niedźwiedź — Dzielna — Orzeł.

A tu znowu:

— Sanctus, sanctus, sanctus Dominus...

I znowu cisza, potem dzwonki. Wszyscy klękają: Podniesienie.

Komuś obsunął się karabin i stuknął głucho o skałę. Słychać głośniejszy szept czyjejś modlitwy. Na górze trochę głośniejsze wybuchy.

Nam nie przeszkadzają te detonacje na powierzchni, nad kaplicą i te rozmowy telefoniczne. Bardzo przyjemnie słuchać mszy świętej w tej cichej jaskini, przypominającej trochę starochrześcijańskie katakumby Rzymu. Szkoda, że nabożeństwa odbywają się tak rzadko: dziś może po raz ostatni. Pójdziemy wkrótce na inny odcinek, długo nie będzie kościoła.

A my lubimy pomodlić się czasem. No i spotkać znajomych, pogadać po mszy, pograć w karty. Jak dawniej w Polsce: suma, spotkania, rozomowy, plotki, czasem — mój Boże, jesteśmy tylko ludźmi — czasami były też randki miłosne. Nierzadko chodziło się po sumie na jednego do karczmy, choć proboszcz gromił te wybryki, a w mieście obowiązkowo na pół czarnej do ulubionej kawiarni.

Tu odpadają te „grzeczne“ spotkania z dziewczętami, nie można tu liczyć na „czystą — ojczystą“. Nawet rum fasują teraz tylko po potrolach i wypadach. Ale pogawędzić można.

Gdy msza się skończy zabiorą ołtarzyk i jaskinia stanie się znowu siedzibą dowództwa Batalionu i schronem mieszkalnym dla załogi. Wtedy Mariankiewicz poszuka partnerów do pokera. I będzie wydziwiał, jak można mieszkać w takiej wstrętnej dziurze, w takiej wilgoci. Ale na razie modli się jak inni. A może tylko rozmyśla jak ja.

Może i on patrzy, i stara się zapamiętać ten obraz, aby go kiedyś komuś odtworzyć: tak słuchaliśmy mszy świętej w Tobruku...

Już komunia. Sporo wiary przyjmuje dziś Najświętszy Sakrament — była wczoraj spowiedź w kompanii Żbik, bo wkrótce będą mieli wypad. Na pewno wrócą wszyscy, ale na wszelki wypadek lepiej pojednać się z Panem Bogiem.

— Ite. Missa, est.

Idźcie, msza skończona. Nie, jeszcze nikt nie wychodzi. Tam, w wąwozie, gdzie przed miesiącem mieliśmy nabożeństwo, trzeba się było szybko rozchodzić — miejsce nie było zanadto bezpieczne, co prawda w pięknym zagłębieniu, ale wiecie, że moździerze... Za to tu w jaskini można nawet śpiewać. Ksiądz kiwnął przyzwalająco, znany z pobożności kapral Tocki zaczyna niskim tenorem:

„O Panie, któryś jest na niebie,
„Wyciągnij sprawiedliwą dłoń!
„Wołamy z cudzych stron do Ciebie
„O polski dach, o polską broń!“

Tyle razy już słyszałem, śpiewałem tę pieśń, a zawsze przenika mnie jakimś dreszczem. To chyba nie słabość — to wzruszenie. Myślę, że nie muszę się wstydzić wzruszeń tego rodzaju. Nie, przyznaję się do nich zupełnie otwarcie. Zresztą widzę, słyszę, czuję to: inni też są przejęci. Trochę drżą niektóre głosy przy następnej strofie:

„O Boże, skrusz ten miecz, co siekł nasz
Kraj,
„Do wolnej Polski nam powrócić daj,
„By stał się twierdzą nowej siły,
„Nasz Dom, nasz Dom“
...Nasz sprawiedliwy Dom...

Msza skończona. Wiara rozchodzi się powoli. Jeden po drugim wysuwają się żołnierze przez otwór wyjściowy i grupkami, poniżej horyzontu przemykają się do swych oddziałów. Włosi strzelają jeszcze trochę, ale jak zwykle Panu Bogu w okno.

Ja wychodzę jeden z ostatnich. Trudno mi rozstać się z tą grotą, z tym nastrojem. Ni stąd ni zowąd przychodzi mi do głowy jakieś zdanie: „A msza się zawsze odprawia“.

Aha: tak napisał Sienkiewicz, bodaj, że w „Bez dogmatu“.

Zmieniają się ustroje, walczą miliony ludzi, powstają fałszywe bogi, pogańskie ideologie, fałszywi prorocy hypnotyzują całe narody, zbrodnie wynoszą do godności cnoty, wylewają rzeki krwi, a potem giną, przepadają, obracają się w nicość.

A msza się zawsze odprawia.

A już napewno odprawia się tam, gdzie jest polskie wojsko. **Janusz Jasieńczyk**

Z drobnych składek miesięcznych powstają fundusze, które pozwalają

KATOLICKIEMU UNIWERSYTETOWI LUBELSKIEMU

rozwijać się i szerzyć oświatę i kulturę katolicką.

Zapisujcie się na członków Towarzystwa Przyjaciół Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego.

Płać regularnie składki miesięczne. —Konto PKO. II-143, Lublin

Andrzej J. Kamiński

PAX GERMANICA

„Wojna nie może pozostawić pokonanemu nic więcej prócz oczu do opłakiwania swego nieszczęścia“. (Tanneberg, jeden z przywódców Związku Wszechniemieckiego w r. 1911).

Niebezpieczne złudzenie z propagandy wojennej aliantów, oddzielające Niemcy od Hitlera, nie zaszkodziło w niczym istnieniu jedności Trzeciej Rzeszy. Naród niemiecki bronił Hitlera do ostatka. Pocisk propagandowy, który trafić miał w więzy, łączące Führera z jego narodem, odbił się i wracając poczynił groźne spustoszenia w pojęciach samych aliantów. Przypadek jest oryginalny — alianci uwierzyli w swoją propagandę, przeznaczoną pierwotnie na użytek niemiecki.

Podkreślić zresztą należy, że sami Niemcy dopomogli im w tej mierze wszelkimi środkami propagandowymi, skoro tylko poznali, że może to być dla nich korzystne, aby alianci tak właśnie myśleli.

Pomijając tak rozległą sprawę, jak zagadnienie „denazyfikacji“, które z tych właśnie propagandowych złudzeń o niehitlerowskich Niemczech i Niemcach wyrosło, złudzenia te odegrać mogą poważną i groźną rolę przy rozstrzyganiu przyszłości Niemiec. Przejawia się to w chęci przyznania Niemcom „woli“, „samostanowienia“, którego rzekomo pozbawieni byli przez Hitlera. Wykluczając możność zbiorowej odpowiedzialności za wszystko, co naród niemiecki czynił bez najmniejszego przymusu z zewnątrz w ciągu sześciu lat, uznaje się jednocześnie prawo tego narodu do zbiorowego decydowania o sprawach, które nie tylko jego dotyczą. Trudno odgadnąć, skąd właściwie bierze się przeświadczenie, że decyzja narodu niemieckiego nie wypadnie po hitlerowsku.

Przykładem takich rozstrzygnięć być może projektowany przez Socjalistyczną Partię Jedności (SED) strefy radzieckiej plebiscyt za jednością Niemiec (jak gdyby tłumy ryczące niedawno „Ein Volk, ein Reich, ein Führer!“, nie wypowiedziały się dostatecznie!!). Drugim, znacznie groźniejszym przykładem, jest amerykańskie pojęcie o konieczności przyjęcia i uznania traktatu pokojowego przez naród niemiecki.

„Pokój nie może być nigdy trwały, jeżeli nie zostanie uznany i odczuty, jako sprawiedliwy przez naród niemiecki w całości“.(1).

To zdanie, w różnych redakcjach, stanowi wyraz owego niebezpiecznego złudzenia na temat pojęć narodu niemieckiego o Słusznym i Sprawiedliwym.

Jeżeli się jednak chce podobne pojęcia zbijać, nie można niestety oprzeć się na najbardziej uchwytnych i świeżo pamiętnych zjawiskach. Hitleryzm bowiem, jak już podkreślaliśmy, uważany jest w szerokim, oddalonym od Odry i Renu świecie za zjawisko wyjątkowe w niemieckich dziejach. Nic w tym zresztą dziwnego; dopiero drugi raz furor teutonicus dotarł do świadomości oddalonych narodów, przy czym za pierwszym razem wyraźne jego przejawy odbiły się właściwie niemal wyłącznie na Belgii, Francji i Polsce. Ani Rosja, ani Anglia, ani tym bardziej jeszcze Ameryka, nie miały do czynienia z naturą niemiecką przez długie wieki, w czasie których Francuzi i Polacy prowadzili ze smutnej konieczności długie, poglądowe studia germanizmu. Nieszczęście chce, że właśnie narody mniej zorientowane w zagadnieniu, mają o nim rozstrzygać. Rosja przynajmniej w obecnej wojnie poznała Niemców dokładnie i „osobiście“; Anglosasi dalej jeszcze tkwią w sferze opowiadań o złych Niemcach jednie, nie mogąc jednocześnie zapomnieć Goethego i Mozarta.

O pokoju hitlerowskim możemy tymczasem mówić dość dokładnie. Nieludzkie akcje przeciw partyzantom, czy represje wobec ludności cywilnej, uznać można bowiem za część działań wojennych — natomiast wiele innych akcji stanowi elementy zupełnie z wojną niezwiązane. Należą tu: tępienie systematyczne całych narodów (Żydzi, także Polacy); wysiedlanie milionów ludzi w strasznych warunkach; niszczenie dorobku kulturalnego niezliczonych pokoleń; wyzysk ekonomiczny do granic ludzkiej głodowej w kraju wyzyskiwanym. Wszystko to stanowiło elementy p o k o j u hitlerowskiego, pokoju n i e m i e c k i e g o, nie miało nic wspólnego z działaniami wojennymi, niekiedy musiało je nawet utrudniać. Założyć przeto można, że po zakończeniu wojny zwycięstwem Niemiec, hitlerowski pokój spotęgowałby tylko wymienione wyżej zjawiska.

Ponieważ jednak hitleryzm ma być wyjątkiem — zapytajmy, jaki pokój Niemcy uważali za sprawiedliwy, zanim jeszcze Hitler ich zahipnotyzował (zaczarował, omamił, oszukał... w życiu są wszystkie te pojęcia!).

W liście do redakcji jednego z pism berlińskich(2) znajdujemy stwierdzenie, że w dyskusjach politycznych obecnej zimy dwa tematy szczególnie sobie Niemcy ulubili: wysiedlonych i „odstąpione“ terytoria. „Rozpalają one wszystkich — szowinistów i członków partii, demokratów i czynnych chrześcijan. Wprawdzie, mówi się w tych rozmowach, Hitler i jego towarzysze przesiedlali i wywozili, pędzili i wlekli miliony ludzi na przymusowe roboty. Ale p r z e d nim — nigdy Niemcy tego nie robili... Wprawdzie, mówi się, cierpiący na manię wielkości władcy anektowali, niszczyli, wcielali, grabili i pustoszyli całe kraje.. Ale p r z e d t e m: Niemcy nigdy nawet nie myśleli o czymś podobnym... (podkr. oryg.).

Autor listu w dlaszym ciągu odświeża jednak pamięć Niemców, której równie im brak — jego zdaniem — jak sumienia. (...„sumienie stało się tak rozległe, że wszelkie potworności na miarę światową znalazły sobie w nim wygodne miejsce“).

Na pierwszym miejscu tych wypominków stoi Alfred Hugenberg, dziś jeszcze żyjący przywódca dawnej partii Niemiecko-Narodowej (Deutschnationalen), człowiek, który ocalił Hitlera w r. 1933 przed klęską wyborczą, zapewniając mu głosami swojej partii większość w Reichstagu. Hugenberg stawiał niedawno wniosek o denazyfikację — który został odrzucony. Niesłusznie zresztą, bo przecież Hugenberg niczego się od Hitlera nie nauczył, ani ideałów jego nie przejmował... raczej przeciwnie, dostarczył mu swoich. „Należąc do Związku Wszechniemieckiego, który uczynił nastroje przedwojenne Rzeszy wilhelmowskiej dojrzałymi do wypowiedzenia wojny, stał w najpierwszym szeregu fanatycznych organizatorów prześladowania i wywłaszczania Polaków. Jego program aneksjonistyczny po r. 1914 domagał się prowadzenia wojny aż do wcielenia Polski, Litwy, dawnych Inflant z Kurlandią, oraz Ukrainy na wschodzie; na zachodzie całej Belgii i wschodniej Francji. Nie dość na tym — żądał wypędzenia wszystkich nie mówiących po niemiecku mieszkańców tych ziem, które miałyby być anektowane, przez co około 50 milionów ludzi zostałoby bez ojczyzny. Los tych pięćdziesięciu milionów niewinnych ludzi nie interesował tajnego radcy Hugenberga; był on tegoż zdania, co jego związkowy towarzysz wszechniemiecki Tannenberg...“ (patrz na wstępie).

„Ten sam podżegacz wojenny i przedłużacz wojny Hugenberg niezmordowanie domagał się w republice weimarskiej, aby świat uwierzył w niewinność cesarskich Niemiec“.

Nie jeden Hugenberg jednak myślał wówczas podobnie.

Sekretarz stanu w Urzędzie Skarbu Rzeszy, dr. Helfferich, oświadczył m. in. w Reichstagu w dn. 20 sierpnia 1915:

„Na ołowiany ciężar miliardów zasłużyli sobie podżegacze wojenni (sc. przeciwnicy Niemiec — przyp. red.). Niechaj go wloką przez dziesiątki lat“. Miało się to stać „o ile Bóg daruje nam zwycięstwo i tym samym możność ukształtowania pokoju **wedle naszych potrzeb i konieczności życiowych**“. (podkr. moje).

Podobny do hugenbergowskiego program aneksyjno - wysiedleńczy wobec Francji wytyczył latem 1917 roku w swojej pracy „Uwagi o niemieckim pokoju“ — przewodniczący Związku Wszechniemieckiego, radca sprawiedliwości(!!) Class.

Hr. Roon, przywódca partii konserwatywnej w pruskiej Izbie Panów, pisał już w czerwcu 1918 o zwycięstwie w czasie teraźniejszym. Postanawiał m. in. długi szereg aneksji na pograniczu zachodnim Niemiec, (sprawy wschodnie uregulował już był pokój brzeski), ustąpienie Niemcom baz flotowych i węglowych, jak również całej floty wojennej przez Anglię i zwrot Gibraltaru Hiszpanii; koszty wojenne oznaczał na 180 miliardów marek na ciężar Francji, Anglii i Ameryki. Do czasu wypełnienia wszystkich punktów traktatu trwać miała okupacja na koszt pokonanych.

Wreszcie podobne aneksyjne zamiary co do Francji i Belgii żywił gen. Dudendorff w piśmie do kanclerza Rzeszy z września 1917.

Taka oto koncepcja pokojowa uważana była w Niemczech za sprawiedliwą. Wypowiedzieli się powyżej przedstawiciele wyższych warstw niemieckich, cywilni i wojskowi. O zdanie wielkich kapitalistów nie byłoby nawet co i pytać.

Można się jedynie dziwić, że powyższych wypowiedzi nikt w Wersalu nie przypomniał. Warto by je dzisiaj odnaleźć i skompletować.

A nie dość na tym. Historia zdecydowała bowiem inaczej, na miejsce wszystkich wyżej wyliczonych postanowień ewentualnych niemieckich zwycięzców przyszedł traktat wersalski. Upierający się wprawdzie niepotrzebnie przy formalnym uznaniu winy Niemiec, ale też o całe niebo łagodniejszy od projektów Roona i Hugenberga. I taki właśnie pokój całe już społeczeństwo niemieckie uznało za wysoce krzywdzący. Sprawiedliwe przeto było w jego pojęciu anektowanie i wysiedalnie nie **przez zwycięzcę**, ale **przez Niemców.**

Jednocześnie amerykański komentator stwierdza sam, że naród Stanów Zjednoczonych odrzucił traktat wersalski, ponieważ niedostatecznie wcielał on w życie szlachetne zasady Wilsona.

Innym językiem mówiąc, traktat wersalski jest dla pojęć amerykańskich, dla pełnych przebaczenia... niepokrzywdzonych, jeszcze za surowy. Wnioski z tego idą bardzo daleko.

Jeżeli Europa ma się spodziewać pokoju leżącego pomiędzy aneksją wschodniej Francji i Ukrainy z wysiedleniem wszystkich nie-Niemców, a traktatem wersalskim, który pilnie dbał o to, aby choć jeden kawałek Niemiec za wiele nie dostał się prawym posiadaczom na wschodzie i na zachodzie, to duch Hitlera gotów się objawić, aby taki pokój podpisać. Taki pokój bowiem, w którym dla zaspokojenie niemieckiego poczucia sprawiedliwości naprawione zostaną „krzywdy Wersalu“, t. zn. odłączenia od nagrabionych terytoriów Rzeszy Poznańskiego, Gdańska, Alzacji i Lotaryngii; jeżeli przy tym, ciągle dla niemieckiego poczucia sprawiedliwości, granice Rzeszy przesunie się dalej jeszcze na wschód i zachód — taki pokój gotów jest naprawdę znaleźć uznanie narodu niemieckiego, jako „sprawiedliwy“ i „trwały“.

Dość żartów. Jest jasne, że Amerykanie nie myślą o czymś podobnym, że te hasła sprawiedliwości stanowią niewiele co więcej, niż propagandowy chwyt. Nawet zdanie, że „i tym razem traktat pokojowy, o ile ma wiązać Stany Zjednoczone, musi uzyskać konieczną większość dwóch trzecich senatu amerykańskiego“, nie może na niczym zaważyć. Narody sąsiadujące z Niemcami, nie znajdą dość zrozumienia dla faktu, że pozyskanie sobie przez Niemców więcej niż 1/3 senatorów amerykańskich, za pomocą taniutkich haseł humanitarnych, czy też bardziej rzeczowych argumentów, znaczyć ma więcej, niż ochrona wielomilionowych narodów przed nieustannymi najazdami i mordami masowymi. Zdają sobie z tego niewątpliwie sprawę i Amerykanie, zwłaszcza, że ostatnie aresztowania wśród organizacji hitlerowskich mogły znakomicie otworzyć oczy wielu „humanitarystom“ cudzym kosztem. Ale tego rodzaju stawianie sprawy prowadzi do niebezpiecznego pomieszania pojęć i wytworzenia nadmiernych nadziei u samych Niemców — i dlatego jest **szkodliwe.**

Niemcy nie wiedzą, czego się mają spodziewać. Z jednej strony socjaldemokracja (partia Schumachera), walcząc wszelkimi sposobami o każdą piędź ziemi za granice z 1937 roku Hitler przegrał; Unia Odrą i Nisą, mówi jednak wyraźnie, że Chrześcijańsko - Demokratyczna (CDU)

Zagadnienia i poglądy

„Słowo Powszechne“ na pionierskim szlaku

W sobotę, dnia 22 marca, rzucony został na rynek pierwszy numer jedynego w Polsce dziennika katolickiego. Nie nosi on wprawdzie żadnego wyjaśniającego podtytułu, nie posiada na ostatniej stronie adnotacji „imprimatur“, czy choćby „nihil obstat“. Zewnętrznie mało odbiega od pozostałej prasy. Ale już w artykule wstępnym pierwszego numeru redakcja jasno określa drogę, po której zamierza postępować. „Pismo redagują katolicy. Redagują go zatym ci, którzy z pełną odpowiedzialnością świadomi są trudnej roli, jaką Katolikom Bóg w społecznym życiu Polski wyznaczył. Pismo jest redagowane przez Katolików. Spełniać więc musi w sposób jak najlepszy i jak najpełniejszy rolę czynnika odrodzeńczego, opierającego swą działalność na katolickich zasadach wiary i moralności“.

Ta droga zobowiązuje. Zobowiązuje także cel. Redakcja „Słowa“ widzi go w „służeniu Kościołowi Katolickiemu i Polsce“. Służbę rozumie jako stałe realizowanie prawdy, „że tylko moralne i społeczne zasady katolickie wprowądzone do życia narodu polskiego mogą spowodować jego odrodzenie...“.

Czy pierwsze numery „Słowa“ wypełniają te zobowiązania? Na pewno nie całkowicie. Postawione zadania są tak ogromne, że rozpoczynający pracę wąski zespół ludzi, walczący do tego z ogromnymi trudnościami technicznymi, nie jest w stanie zadośćuczynić przyjętym postulatom. To też na ocenę działalności pisma jest jeszcze za wcześnie. Powinno się ono rozwijać i wydaje się, że nawet w ciągu tych kilku dni robi postępy. A przecież proces nie jest zakończony. Właściwie zakończony nie powinien zostać nigdy, bo stale trzeba podnosić i ulepszać rozpoczętą inicjatywę. Już nie długo będzie można przecież postawić minimum, poza które spadać nie wolno. Jeśli wówczas ocena wypadnie negatywnie, inicjatywę będzie trzeba uznać za chybioną.

Natomiast już dziś trzeba krytykować. Przecież pismo ma służyć katolikom i ich zdanie powinno decydować o jego charakterze, poziomie i kierunku. Dlatego, choć trudno ostatecznie oceniać, trzeba wymagać i wskazywać błędy. Ale trzeba także współdziałać. Zadania redakcji są zadaniami każdego katolka w Polsce. Nie można się separować i z daleka załamywać lub łamać ręce, jeśli coś się nie udaje. To, czy ogół katolików polskich uzna pismo za swoje, zależy od redakcji. Miejmy nadzieję, że potrafi zdobyć zaufanie. To natomiast, czy pismo będzie spełniać taką rolę, jaką wyznacza mu układ sił w Polsce, zależy od ogołu katolików. Każde słowo rzeczowej krytyki, każdy nadesłany artykuł czy wiadomość, każdy wreszcie nowy, stały czy przygodny współpracownik będą nową wartością dla sprawy katolicyzmu i narodu polskiego. Wydanie „Słowa Powszechnego“ otworzyło możliwości tym, którzy dotychczas musieli milczeć, nie mając chęci wypowiadać się w pismach, redagowanych przez ludzi odmiennych przekonań. Jeśli trybuna ta nie zostanie dostatecznie wykorzystana odpowiedzialność spadnie na wszystkich ludzi naszego poglądu na świat i naszych zasad moralnych. Tej zaś odpowiedzialności chyba nikt nie ma prawa brać na siebie.

mk.

zapowiada groźnie, że nie podpiszę traktatu, ustalającego granicę Odry — Nisy, a zatem bierze taką możliwość pod uwagę. Z drugiej strony niektóre pisma, szczególnie młodzieżowe (m. in. popularny monachijski „Der Ruf", a także „Ende und Anfang") lubią mówić o „ewentualnej utracie przez Rzeszę Poznania". Jednocześnie niektóre pisma niemieckie przesądzają sprawę granicy wschodniej, uważając, że nawet Amerykanie podnosić będą tę sprawę tylko taktycznie. Rozczarowanie niepotrzebnie robionych Niemcom nadziei okazać się może w skutkach groźniejsze, niż najsurowszy pokój.

Sprawiedliwego pokoju życzyć może Niemcom tylko najgorszy wróg. Sprawiedliwość za to, co uczynili przez ubiegłe dziesięć lat, byłaby straszniejszą od wszelkich wyobrażeń.

Ale dla ich własnego dobra i dla dobra całego świata życzyć im należy pokoju surowego, który nie tylko uniemożliwi im wojnę, ale przekona ich, że stanowi ona **zbyt wielkie ryzyko.**

Przekonanie bowiem Niemców o **zbrodniczości** wojny jest dopiero muzyką bardzo dalekiej przyszłości; wyrok norymberski nie rozpoczął nawet takiej przemiany w sposobie myślenia tego „kriegslustiges Volk". Posiadam na to dowody, których przytaczanie nadmiernie rozsadziłoby ramy artykułu.

Na temat artykułu wersalskiego i reprezentacji niemieckiej na konferencji pokojowej zabrał ostatnio głos baron dr. v. Lersner, b. przewodniczący delegacji niemieckiej w Wersalu. Widzi on oczywiście w surowości traktatu wersalskiego przyczynę wszelkiego zła, i wyraża nadzieję, że „o ile... wywody przedstawicieli niemieckich przy regulowaniu problemów pokojowych będą dostatecznie uwzględnione, z potwornej klątwy ostatnich lat może rozkwitnąć błogosławieństwo dla wszystkich narodów". (1).

Przedstawicieli niemieckich — niehitlerowskich! — wysłuchaliśmy już wyżej i mam nadzieję, że w istocie d o s t a t e c z n i e. Jeżeli wysłuchają ich także twórcy pokoju i wyciągną wnioski, być może pokój ten stanie się istotnie błogosławieństwem narodów.

Panu baronowi v,. Lersner powiedzieć można najwyżej, że o ile jego zdaniem „co oznacza pokój, który następuje bez prawdziwego wysłuchania strony cierpiącej, my, niemieccy delegaci pokojowi w Wersalu musieliśmy odczuć najbardziej na własnej skórze" — to jednak miało to miejsce w czerwcu roku 1919. A rok wcześniej dokładnie hrabia Roon pisał we wstępie do swojego artykułu, w którym widział już zwycięstwo:

„Mamy obecnie siłę, którą nam dało zwycięstwo; nie mamy się co porozumiewać, ale jesteśmy w takim położeniu, iż możemy naszym powalonym przeciwnikom podyktować warunki..." (2).

Byłoby niezrozumiałe, dlaczego Niemcom miałoby się narzucać obce im zasady w miejsce ich własnych. Hrabia Roon podyktował aliantom gotową, niemiecką, autentyczną, własną odpowiedź na wszelkie próby pertraktacji. A Tannenberg wytyczył im ramy traktatu.

Wiemy wszyscy, że pokój, nad którym rozpoczęły się prace w Moskwie, nie będzie „pokojem niemieckim". Ale oto, jak wyobrażałbym sobie wstęp do traktatu dla Niemiec, traktatu, który winien być podyktowany w Warszawie:

„Ponieważ zdaniem przywódcy Związku Wszechniemieckiego, Tennenberga, z r. 1911, wojna nie może pozostawić pokonanemu nic więcej prócz oczu do opłakiwania swego nieszczęścia — a wódz narodu niemieckiego, Adolf Hitler, nie pozostawiał zwyciężonym nawet życia — wszystko, co pozostawia się narodowi niemieckiemu niniejszym traktatem, stanowi niezasłużoną łaskę zwycięzców...".

Kto choć trochę zna Niemców, nie zaprzeczy, że tym językiem do nich przemawiając, osiągnie się najlepsze wyniki.

Andrzej Józef Kamiński

Czy wiesz
KIM JEST BÓG?
Przeczytaj „DOBRA KSIĄŻKA"
Ks. St. Olszewskiego
BÓG JEST ŚWIATŁOŚCIĄ
cena 120 zł plus koszty przesyłki księgarniom rabat.
Zamówienia: Warszawa 12 skrz poczt. 40. Towarzystwo Przyjaciół Katolickiego Uniwers. Lubelskiego.

Tadeusz Biedrzycki

NARODZINY NOWEGO STYLU

Kiedy powstaje styl życia? Wyłania go ze siebie podłoże pierwotne, rodzi ziemia przeorana przez wielki kataklizm.

Człowiek broniący się przed atakami przyrody, nie odrazu może myśleć o tym, żeby z otoczenia swego zrobić dzieło sztuki. W najwcześniejszej fazie istnienia kleci poprostu lepiankę lub szałas, je z miski glinianej, nosi odzież byle jak zeszytą. Dopiero kiedy strach przed głodem i zimnem bezpośrednio już nie zagraża, odkrywamy przeraźliwą brzydotę rzeczy służących nam jedynie w sposób użyteczny.

Z chwilą ujarzmienia strefy pierwszych potrzeb, pragnienie ładnego życia staje się dominujące. Gdy cichnie walka o byt, na ścianach grot i jaskiń, pojawiają się ornamenty, przychodzi czas rzeźby malarstwa i świątyń.

Cały wysiłek artystów zmierza do uwolnienia nas od monotonii kołowrotu biologicznego.

Nowy styl powstaje także w momencie, gdy obrzydzenie nasze, odczuwane w stosunku do wytworzonych już form bytowania, przybiera postać odrazy i nudy, wywołanej przez monotonny tryb życia i jednostajność seryjnej architektury. Pragnienie codziennego piękna, zaspakajane dotychczas jedynie w obrębie warstw szczytowych, zdławione zostało u dołu. Pod wpływem przyczyn ekonomicznych ładne domy stały się elitarną rzadkością w tłumie anonimów standaryzowanych.

Rosnąca wciąż liczba ludności i panujący system wyzysku skłonił wiele państw do pośpiesznego klecenia koszarowych, bezdusznych trupiarni, z których składają się miasta rozbudowane w połowie XIX wieku. Partolono tak długo, aż w końcu pochłonęły nas czworograniaste bloki i zalała tandetna szarzyzna. A przecież człowiek nie poto wynurzył się z jaskiń, by podporządkować swój zmysł kształtowania materii, li tylko postulatom użyteczności praktycznej. Na tej drodze postęp został zakłócony. Uwięziono nas w środowisku obcym naturze potrzeb ludzkich. Staliśmy się ofiarami taniej i złej kalkulacji. Architektura, pozostająca wyłącznie na usługach instynktów samozachowawczych, nie może się rozwijać. Jeśli jej jedyną funkcją jest ochrona przed deszczem i zimnem, stadium pierwotne, mimo złudnych pozorów komfortu, trwa dalej. Kształt życia stał się nudny i odrażający. Fabryczno-biurowa cywilizacja osiągnęła szczyt bezdusznego zastoju.

Na tym tle piękno występowało fragmentarycznie, w dużym stopniu uzależnione od klasowego stanu posiadania.

Społeczeństwo prawie w całości pochłonięte wyczerpującą walką o byt, nie miało ani sił, ani czasu do pełnego uczestniczenia w kulturze. Tak więc pierwotny wegetacyjny styl życia w służbie pierwszych potrzeb nigdy dotąd przezwyciężony nie został i tylko nieliczni zdołali wedrzeć się na wyższy szczebel.

Państwowym ideałem XX wieku stał się posłuszny urzędnik, chadzający w geometrycznym kieracie ulic i godzin służbowych.

Chęć wyjścia poza codzienność związała się z wolą podbojów i zysków, zdolnych spotęgować szanse używania. Dekadencja cywilizacji mieszczańskiej wyraziła się w zwyrodniałym pragnieniu krwawej przygody.

Rosnąca potrzeba ruchu, awantury, zmiany, przybrała planową postać dążeń imperialistycznych.

Instynktowne dążenie do tego, by wreszcie wyskoczyć z kieratu i pogrążyć się w nieobliczalnym, to właśnie był bunt powstający zawsze w obliczu martwego już historycznie schematu.

Instynkt walki, podobnie jak instynkt rozkoszy, pcha nas w kierunku samozniszczenia wszystkich sił żywotnych.

Życie, zaprzeczające sobie z reguły w morderczej i pijanej ekstazie, za jej cenę osiąga stan unicestwienia mocy.

Dlatego gwarancją nieskażonego rozwoju może być tylko działanie praw moralnych.

Wola uspołecznienia impulsu twórczego, kosztem innych pragnień — ona właśnie nadaje sens życiu ludzkiemu na ziemi.

Wymieniliśmy już dwa studia narodzin stylu życia.

Nowy styl życia wyłania z siebie **a)** podłoże pierwotne, **b)** cywilizacja znużona własną monotonią i jednostajnością. W tym drugim wypadku powstaje epoka przeorana przez wielki kataklizm. Ten trzeci punkt rozważań jest dziś najbardziej aktualny dla nas. Przystąpimy odrazu do rzeczy. Mówimy często o człowieku, który wyrywa się z granic swego trybu życia, nienawidzi jego regularności i żyje w oczekiwaniu zasadniczych przemian.

Ucieczka od nudy mieszczańskiej wiedzie przez zmysły i krew, awantura staje się tutaj źródłem wtajemniczenia w istotę procesów życiowych. Od bezwładu, przechodzimy do wyniszczającej walki. W obrazie ruin odnajdujemy nasze własne stany, katastrofa ujawnia psychiczny rozkład i chaos, ciągłe miotanie się w cywilizacji oddawna niedopasowanej do nas.

Wojna rozsadziła strukturę wielu egzystencji miejskich.

Obok dzieł sztuki zniweczyła miasta, pełne architektury standaryzowanej.

Zdruzgotany został styl najohydniejszy w historii, zawaliły się kamienne groby, betonowe siedliska kompleksów neurastecznicznych, wylęgarnie sadyzmu, mściwości i nędzy.

Pękła obręcz, oddzielająca miasto od ogrodu i tłumu drzew na horyzoncie.

Ten proces rozsadzenia sklerozy geometrycznej zbiegł się z latami wędrówki i nocy.

Gdyby nie straszliwa cena męki ludzkiej, możnaby powiedzieć, że wybuchające bomby otworzyły przed nami nie jeden, przesłonięty murami, horyzont.

Kiedy ściany padać zaczęły wśród grzmotów, w ulice wdarło się olbrzymie niebo, rósł napór powietrznych perspektyw, widzenie nowego stylu życia dojrzało w nagłym olśnieniu.

Żeby tak można bez wojny przemieszać domy z przestrzenią, unurzać je w głębi ogrodów, wtopić ich linie w horyzont, by lasy wtargnęły do wewnątrz.

W nowym świecie nie może być miejsca na zwarte geometryczne kompleksy.

Któż zechce zamknąć nas znowu pośród kamiennych i betonowych szeregów?

Architektura więzienno - urzędnicza nie powinna się nigdy odrodzić.

Styl koszarowy szkoli w nas podświadomość wojenną — jest on wykładnikiem sadyzmu biurokratycznego oraz sklerozy mieszczańskiej.

Czy zdołamy pobudzić wyobraźnię nowych architektów — my ludzie spragnieni linii strzelistych i płynnych, tęskniący do życia w kulistej pełni przestrzennej— urzeczenia ogromem i wysokością, przechodzącą w lotniczy ostroluk?

Codziennie wzmaga się w nas głód nowego kształtu i natęża wola znalezienia formy dla doświadczeń, związanych z świetlistą i wibrującą szybkością.

Domy nasze muszą w siebie wchłonąć drżenie powietrza i światła — winny być lekkie, strzeliste i barwne — po brzegi unurzane w niebie, organicznie zrośnięte z pejzażem.

Zapowiadamy renesans tynków kolorowych, nową polichromię.

Podobają nam się faliste dachy hangarów, które wprawia w ruch uderzająca o nie bez przerwy — odległość.

Dążenie do miasta ogrodu, żywe już przed wojną, nie pozwoli o sobie zapomnieć.

Chcemy nowej symbiozy z przestrzenią. Ta wojna dała nam już zniszczenie, obecnie musi nam teraz dać szeroki oddech.

Trzeba wołać o architektów, ćwiczących swą wyobraźnię w lotnictwie i wywieść nowy kształt domu z proporcji ziemi i nieba.

Ulice są martwym przeżytkiem. Interesuje nas leśna aleja, drzewa wysokie i strome, gorący szelest gałęzi, uderzających o mur roziskrzony.

Więcej płaskorzeźb na ścianach! Z pracowni rzeźbiarskich wywlec trzeba bezczynnie stojące posągi.

Epoka ta nie może być robiona przez ludzi bez wyobraźni. Wielbiciele geometrycznej szarzyzny potrafią odtworzyć w niej tylko swą własną bezduszność kamienną. Pęd do koszarowego uniformizmu i kult graniastosłupa, bez reszty streszcza w sobie umiłowanie martwego schematu.

Trzeba to wreszcie powiedzieć: Wielkie miściska nie nadaje się do mieszkania. Centrum Nowego Yorku służy ludziom wyłącznie do pracy. Prawdziwe życie zaczyna się dopiero w dzielnicach willowych.

Tysiące ludzi stłoczonych w betonowym klocu, to już anachronizm. Kolektywne ule są siedliskiem brzydoty i nędzy.

Wiek XIX zapoczątkował wegetację w pudełku sardynek i kamienice z podziałką. Od tego należy uciekać. Struktura domu handlowego nie odpowiada już naszym pragnieniom w godzinach, które będą wolne.

Rewolucja w zakresie trybu życia jest psychologiczną koniecznością chwili.

Wojna wytrąciła nas ze stanu biernej równowagi. Przez całe lata żyliśmy w drodze i w lesie.

Naszemu doświadczeniu dostępne były wszystkie pory dnia i nocy. Rozsmakowaliśmy się w świadomym kształtowaniu dnia w coraz innym rozkładzie godzin, służących działaniu i pracy. Inną stała się rytmika ludzkiego organizmu.

Ów moment wyskoczenia z szyn naznaczył nas mocno i trwale.

Nie nadajemy się już do przyjęcia jarzma biurokratycznego.

Egzystencja nasza przebiega w nowej płaszczyźnie.

Ten rodzaj aktywności wymaga zmiany godzin pracy tam, gdzie to jest technicznie możliwe.

Nie codzień od ósmej do trzeciej. Jednego dnia przed — drugiego po południu w biurach. I jeżeli ktoś normę dzienną wykonał, niech się natychmiast wynosi. Niech sobie idzie na grzybki, albo pod fontannę.

Papierki możliwe do odwalenia w dowolnej porze w domu, zabierać ze sobą i jazda. Mniej urzędować, mniej ślęczeć. Wydajność nasza wzrośnie wielokrotnie, gdy przełamiemy szablon monotonii i morderczą rutynę w działaniu.

Zabójsza powtarzalność, oto siedlisko nudy i neurastenii. Praca na trzy lub cztery zmiany, to stary, ale świetny pomysł, wart zastosowania nie tylko w obrębie obiektów fabrycznych.

Poznaliśmy czasy, kiedy każda część wielkiej maszyny robiona była gdzieindziej.

Groza bomb spowodowała daleko idącą decentralizację wielu gałęzi produkcji.

Praktyka wykazała, że proces montowania całości nie uległ przez to opóźnieniu, zasługującemu na napiętnowanie.

Konieczność stworzenia fabryki, organicznie włączonej w krajobraz, zadecydowała o charakterze wielu ówczesnych budowli. Nie ulega żadnej wątpliwości, że te doświadczenia będą mogły być wykorzystane dla celów pokojowych.

Wojna zrodziła nowy styl w architekturze. Świadomość tego faktu jest już żywa w świecie i musi zostać przemyślana u nas.

Nawet tam, gdzie pragnienia zbiorowe posiadają jeszcze dyletancki nieskrystalizowany wyraz, warto je wziąść pod uwagę i dostrzec w nich wreszcie zapowiedź narodzin nowego kształtu egzystencji ludzkiej.

Pytanie, kto na nowo zespoli architekturę z malarstwem i rzeźbą przestrzenną, ma także sens finansowy.

Skoro tyle się mówi o upowszechnieniu kultury i zapewnieniu bytu pracownikom sztuki — warto wziąść pod uwagę projekt codziennego zespolenia ich aktywności twórczej z dziełem odbudowy kraju.

Ponieważ i tak musimy zagwarantować im egzystencję, niechże fakt pociągnie za sobą skutki natury praktycznej i da widoczny przyrost urody istnienia.

Być może, ludzie ci na samym początku nie będą wynagradzani w sposób proporcjonalny do swej wydajności, istnieje jednak szansa zapewnienia im dożywotniego udziału w zyskach obiektów, jakie upiększyli.

Lepiej zacząć od skromnych wynagrodzeń, niż utrwalać stan nędzy artystów i brzydotę świata.

Tadeusz Biedrzycki

Maria Jarczyńską

„Noc Huberta"

Problem poruszany w „Nocy Huberta" jest trudny i delikatny — perypetie psychiczne rozwijają się dokoła faktu pozornie prostego: bohater wezwany na badanie do Gestapo cofa się w ostatniej chwili, powodowany impulsem woli życia, zamiast niego zostaje zabrana i zamęczona w więzieniu żona jego, Edyta. Z punktu widzenia etyki pospolitej, etyki dla ubogich duchem, nie ma tu konkretnej winy Huberta — Edyta zaplątana w robotę konspiracyjną, była narażona na aresztowanie niezależnie od jego posunięć — a jednak poczucie winy dojrzewa w nim, rozrasta się i prowadzi do wewnętrznego przeobrażenia.

Recenzje o tej książce podkreślają ogólnie katolickość problemu, zarówno w sposobie jego postawienia, jak rozwiązania. Jest w tej ocenie pewna nieścisłość. Kwestia sumienia, odpowiedzialności za całokształt życia, za czyny popełnione nieświadomie, pod pchnięciem instynktu, nie stanowi wyłącznie monopolu katolicyzmu. Jest powszechna. Jej powszechność tym jaśniej się w „Nocy Huberta" objawia, że autor ujmuje sprawę w kategorie moralności naturalnej i filozofii. Akcja wewnętrzna umiejscowiona jest na terenie neutralnym, dostępnym dla każdej orientacji i zamknięta w klasyczny schemat walki człowieka o własną pełną świadomość i dobrą postawę życiową.

Problem więc jest trudny i delikatny nie dlatego, że płynie z pojęcia heroizmu religijnego, lecz że wogóle może być odczuty dopiero na wysokim poziomie wrażliwości i kultury duchowej. Książkę można nazwać katolicką o tyle, że stoi niejako pod patronatem religii. To, co w niej jest przeczuciem nieskończoności, to w co wierzy i czego szuka „sprawiedliwy" Henryk, to o czym mówi jego muzyka, istnieje bezsprzecznie, lecz jakby potencjalne i domyślnie poza horyzontem opisanych zdarzeń, za sceną.

Ojciec Leon, który wyraża siłę i fascynację katolicyzmu, ową pewność ostatecznej jedności wszystkiego, zwycięskiej harmonii, jest postacią bierną, statycz Nie wpływa na akcję i nie on jest przewodnikiem Huberta. Hubert wyzwala się ze swej nocy, idąc śladami zmarłej Edyty, niby śladami Beatryczy, pozostaje przy tym człowiekiem, który nie wierzy w życie poza grobem, w kontakty i wskazania przychodzące z tamtej strony. Jego droga do zdobycia siebie, do utwierdzenia się w prawdzie i odwadze dokonywa się nie przez łaskę, lecz przez „ pracę myśli, introspekcję, analizę, zgłębianie znaczenia faktów z przeszłości własnej i cudzej. Otwiera się przed nim dzień, który ów mityczny ojciec Leon z daleka, jakby z poza czasu, błogosławi swoją modlitwą, lecz ten dzień Huberta jest niewiadomy.

Wystarczy porównać utwór Zawieyskiego z Huysmanowskim En Rout — wykładem liturgii postępu duchowego, z dziełem Bernanosa, gdzie życie wewnętrzne poddane jest już nie sugestiom, natchnieniom i powiewom, ale cyklonom sił złych i dobrych, z obsesją demonizmu u Mauriaca, z namiętnością i patosem cnoty i grzechu u Andrzejewskiego, aby ustawić tę historię świeckiego sumienia na właściwym miejscu w hierarchii utworów powstałych z niepokojów i tęsknot wiary aktywnej, wojującej. Zresztą przez oddalenie bezpośredniej ingerencji nieba czy piekła i ukazanie wielkiej, w pewnym sensie samowystarczalnej intensywności myśli i uczucia, która w ostatecznym wysiłku doprowadza do zdobycia koniecznego światła, dokonał Zawieyski ciekawego eksperymentu twórczego. Zamknął problem, z natury swej mistyczny, wyłamujący się z formuł rozumowych, w ramach pewnej prawidłowości psychicznej, przedstawił go jako proces ścisły, niby rozwiązywanie równań.

Rachunek sumienia został rozłożony na etapy i udramatyzowany. Nie tylko w monologach wewnętrznych krystalizuje się prawda duszy, owa prawda ujawnia się na skutek zrozumienia i rozłożenia na elementy zawiłego zjawiska wzajemnych wpływów, przemocy, dziedziczności, wszelkich „uwarunkowań". Mając pełne poczucie opornej „głębi świata" i nieprzeniknionej odrębności drugiego człowieka, wysuwa Zawieyski postulat „pracy myśli", usiłującej w miarę możności przezwyciężyć niepojętość. Dramat ludzki nie polega na cierpieniu zawinionym czy bezwinnym — cierpienie nie jest czymś samym w sobie, lecz skutkiem jakiegoś kłamstwa własnego czy cudzego, jakiegoś błędu, zdrady — patos doli wynika z przeciwstawienia człowieka z jego ograniczoną zdolnością poznania — ogromowi życia, które „jest niezrozumiałe tajemnicze, potężne". Praktycznie szukanie ładu w losie jednostki winno zaczynać się od rzeczywistości najbardziej dostępnej, danej — od jej historii splątanej z historią drugich.

Ciąży tutaj nieco Proust ze swym imperializmem pamięci. Zawieyskiego zresztą interesuje nie pamięć organiczna, nie narkotyczny sensualizm trwania, utajony w nerwach, ale pamięć duszy, osobowości, która nosi na sobie wszystkie odciski ubiegłych wydarzeń i przeżyć. Wspomnienie jest cenne jako materiał poznawczy, przeszłość ma znaczenie archiwum, gdzie znaleźć można w miarę potrzeby takie czy inne dokumenty dla wyjaśnienia teraźniejszości. Z układu minionych faktów, z ich ustalonego już porządku, można odczytać prawidłowość dowodzącą istnienia ogólnych reguł. To, co było, warunkuje to, co jest. Życie jest ciągłością, postępki członka są potencjalnie obecne w jego naturze i sekcja dokonana na przeszłości pozwala je w pewnym przynajmniej stopniu uzasadnić.

Z tych założeń wynika owo przeładowanie książki materią wspomnień, przemieszanie, zatopienie chwili bieżącej w czasie minionym.

W wypadku Huberta sprawa wpływów i zależności jest szczególnie trudna, gdyż ten reprezentacyjny bohater — obiekt doświadczalny jest nadmiernie obarczony kompleksami. Nieufny wobec świata ukrywa się pod przybraną niezupełnie świadomie maską i cierpi na podwójność egzystencji, na fałsz, w który wierzą i w którym utwierdzają go inni. Egocentryczny, niezdolny do hojności, do oddania siebie, bierze od Edyty jej miłość, bezpieczeństwo i spokój, jakimi promieniuje jej obecność, nie myśląc o niej, jako o odrębnym, pełnym człowieku. Dopiero śmierć narzuca mu jej prawdziwe istnienie. Cofa się wówczas w nurt pamięci, pod prąd, żeby ją odnaleźć i zrozumieć. Z tej gry wspomnień powstaje rodzaj dyptyku, dziedzictwo Huberta i biografia Edyty — symetrycznie zestawione — na jednej płaszczyźnie niby na tablicach pokazowych dla zademonstrowania mechanizmu wzajemnych zależności. Świetne są partie książki, gdzie nieżyjąca kobieta konkretyzuje się we wspomnieniu, wraca, ciągnąc za sobą zapomniane fragmenty swego życia, widma swoich rodziców, pejzaże swego kraju. Jej los — wypełniony, zamknięty — staje się przez swą statyczność właśnie czytelny i układa się w naukę o konieczności zgody z sobą, odwagi, harmonii.

Dalszym etapem w wyzwoleniu Huberta z obranego tchórzliwego kłamstwa jest katastrofa z Henrykiem. Umierający wyjaśnia mu sens rzeczywistości, jako konieczność ruchu, wyjścia z siebie naprzeciw czegoś, „co jest od nas większe", „co nas zagarnia, co jest głosem nas samych, głosem z tej głębi, która odbija w sobie całą nieskończoność". Większą zresztą niż słowa siłę przekonania ma sam fakt tej śmierci, która jest śmiercią dobrą, konsekwentnie wybraną z całego życia.

Hubert przebywa wielką drogę — od udręki indywidualnej, od zagadnienia poszczególnego do ogólnych pytań, poruszających głęboki nurt lęków metafizycznych. Wspomagany przez silniejszych i bardziej od siebie świadomych dojrzewa do życia w świecie „poza sobą", w jakiejś rzeczywistości powszechnej, gdzie odrobić ma tę swoją winę wobec Edyty. Jak ta rzeczywistość ma wyglądać, tego Zawieyski nie mówi.

Schemat rachunku sumienia, dokonanego w oparciu o innych, powtarza się w książce Zawieyskiego z upartym jakimś, nieco zmechanizowanym, rytmem.

Artystycznym i psychologicznym usprawieliwieniem jest moment katastrofy, powodujący popłoch uczuć i sprzyjający rozważaniom o rzeczach ostatecznych. Śmierć, która udarza, która krąży nad ludźmi, wyzwala intensywność życia, zmusza do zamyśleń nad „niedostatecznie załatwioną rzeczywistością". W samej kompozycji to kolejne zamyślanie się bohaterów nad sobą i innymi jest słabością artystyczną. Mimo pozornego bogactwa fabuły i różnorodności postaci, panuje jednostajność. Każdy zostaje tu określony przez wspomnienie podane po prostu jako relacja mniej lub więcej bezpośrednia. Prowadzi to do maniery — np. podczas koncertu Henryka — oświetla autor po kolei każdą z osób jakby roflektorem, ukazując jej przeszłość. Defilują z odpowiednimi objaśnieniami swego charakteru, roli, wzajemnych stosunków matka, Henryk, Bronia, stary Mirecki. Ludzie nie zostają pokazani w działaniu, nie ujawniają się ich reakcje, zmiany, odruchy, są opowiedziani jedni przez drugich, czasem niezręcznie. Trudno np. przyjąć, że Hubert będzie sobie przepowiadał fragmenty biografii Henryka, słuchając jego muzyki. Wiadomości o bohaterach zostają rozbite na szereg jakby ekspozycyj, wmontowanych w całość w sposób nie organiczny, lecz sztuczny i przypadkowy. W każdej chwili przełomowej, ważnej, bolesnej, czas zostaje dowolnie zatrzymany i cofnięty. Przy tych wszystkich jednak zastrzeżeniach owa monotonia właśnie wywołuje wrażenie prowidłowości splotów win i krzywd ciągnących się pokoleniami.

Rozwiązując kompleksy swych bohaterów — nie niszczy Zawieyski sugestii wielorakiej tajemnicy, która jest niejako substancją świata, istotą człowieka, jego marzenia, jego losu. Zawsze znajduje formuły trafne i, o ile to możliwe, precyzyjne, na oddanie zarówno niepokoju świadomości, poczucia irracjonalnego chaosu życia, jak i mocnej logiki przyczyn i skutków.

Zasadą twórczą jest tu przesunięcie punktu ciężkości „od faktów do problemów". Fakty mają znaczenie kamieni milowych, wzdłuż których wędrują jego bohaterowie za swoim przeznaczeniem. Szkielet akcji opiera się na wydarzeniach wojennych, ale są one jedynie pretekstem do rozwinięcia dramatu pozaczasowego, możliwego w każdych innych okolicznościach. Ważne są jako przyczyny pewnych zjawisk psychicznych — strachu czy heroizmu, same w sobie nie wyrażają fatalizmu histerii, potwierdzając jedynie fatalizm indywidualny.

Więcej — sami bohaterowie wydają się również potrzebni o tyle, o ile swym działaniem i przeżyciami czegoś dowodzą, coś potwierdzają.

Zagadnienia, żywioł myśli, świadomość posiadają jakąś groźną konkretność, jakąś swoją fizykę. To niewidoczne życie jest bardziej istotne niż życie cielesne, które niejako służy tamtemu, jest przez nie wykorzystywane, pożerane. Prawie dotykalnie wyczuwa się rzeczywistość atmosfery duchowej wspólnej ludziom, w której poruszają się, przyciągani, odpychani krzywdzeni i wspomagani wzajemnie przez siebie. Ta atmosfera posiada jakby prężność i gęstość, przez jej nieujętą materię człowiek przedziera się jak przez coś, co stawia opór, co uciska ze wszystkich stron.

Intelektualizm książki Zawieyskiego ma w sobie ostrość bardzo silnego sztucznego światła. Wszystko poddane tu jest procesowi poszukiwania sensu, „znaku konieczności". Hubert przez śmierć Edyty, potem Henryka, odkrywa prawo uzależnień, według którego cierpienie cudze — niezrozumiałe i absurdalne — potrzebne było, żeby skierować go ku prawdzie.

Zawieyski uprzedza zarzut okrucieństwa takiej doktryny, stwierdzając, że Hubert nie znajduje na to „żadnej wewnętrznej zgody", lecz że fakt ten narzuca się „z całym gorzkim poczuciem zależności skazującej nas na ciągłe uwarunkowania". Umierający Henryk również martwi się nie o to, że żona jego będzie cierpieć, ale czy „zrozumie" jego śmierć.

Nie ma w tej książce klimatu życia, wszystko ulega spreparowaniu — zdarzenia, namiętności, rozpacz i nadzieja; ludzie pozbawieni są krwi, ich uczucia i instynkty przypominają widoczne na ekranie skurcze serca prześwietlanego Roentgenem. Całość jest budowaniem diagnozy, w której ludzkie przygody, klęski czy zwycięstwa są etapami pewnego procesu.

Ta surowa czystość i powaga naukowego traktatu została osiągnięta przez wyłączenie wszystkiego, co mogłoby zakłócić bieg rozstrząsań — romantyzmu, malowniczości, niewyrażalnej magii życia czy uroku ludzi.

Pomaga to do koncentracji, jednocześnie jednak zuboża. Tym bardziej że istnieje tu możliwość wydobycia dużej emocjonalności z portretów, z akcesoriów, ze zdarzeń. Tak jest w wypadku Edyty: jej tajemniczość, jej smutek, jakiś balladowy mrok, z którego się wyłania, dzieciństwo obciążone tragedią rodziców, nastrojowe dekoracje — farma, lasy jezioro, gdzie utopiła się jej matka, wszystko predestynuje ją na zjawisko wybitnie poetyczne. Z kontrastu jej egzotyzmu i pewnej nierealności ze śmiercią w niemieckim więzieniu możnaby osiągnąć efekty głębsze niż daje książka, która nie przekonywuje nawet o cichym, ciepłym, domowym wdzięku tej kobiety. Ta sama krzywda dzieje się Urszuli — jej trochę abstrakcyjny, trudny urok, kapryśność, kruchość są zaznaczone w sposób raczej linearny i suchy. Podobnie zresztą niewyzyskane są postacie mężczyzn, z których każdy ma jakieś swoje dramaty, załamania, jakąś wewnętrzną piękność czy patos, ale wszystko to podane jest w sposób obliczony na zrozumienie logiki i gatunku tych cech, a nie na przyjęcie ich współczuciem czy wzruszeniem. Mogłoby się zdawać, że Zawieyski tępi celowo liryzm w imię surowej rzeczowości, gdyby nie to, że demaskuje swoją „słabość" w opisie muzyki, ujawniając poezję czysto intelektualną, poezję praw, układów, pojęć oderwanych, której oddaje cały żar, całą urodę i siłę fascynacji, wszystkie nostalgie, głody, porywy, odebrane swym bohaterom.

Interesujące jest w utworze Zawieyskiego połączenie zasadniczej statyczności z wielką intensywnością treści. Istnieje tu dramatyczność, choć akcja zewnętrzna jest wątła, dramatyczność napięć duchowych, które prowadzą do decyzyj, załamań, do momentów olśnienia nagle odkrytą prawdą (jak w chwili, gdy Urszula widzi śmierć Edyty i pojmuje winę Huberta). Ci ludzie — pozornie nieruchomi i ukazani techniką niejako aualenti, przecież gdzieś dochodzą, coś zdobywają, o coś walczą, ulegają klęskom.

Walorem wzmagającym tę wewnętrzną dynamikę treści jest muzyka. Zawieyski bardzo wymownie i wyczerpująco prowadzi rozważania, przyjmując takie czy inne możliwości, wyciągając wnioski. Ta dialektyka, nieco oschła, stanowi sama w sobie, poza fabułą, pewną doskonale rozczłonkowaną, cienką, wytworną konstrukcję — w niej elementem twórczego uniesienia, gotyckiej ekstazy jest wątek muzyczny. On jest duszą książki, jej urokiem jakąś prężną służką pulsującego pod precyzyjnymi, miarowymi zdaniami życia, sprawiającą, że ta historia chłodna jak protokół doświadczenia psychicznego, jest jednak pełnobrzmiąca, mocna, sugestywna.

Oczywiście, jak wszystko — jak fakty, jak czyny ludzkie i przemyślenia — tak i muzyka służy tutaj do tłumaczenia tajemnicy losu.

Przez najdoskonalsze osiągnięcie — połączenie elementu zmysłowego: dźwięku z treścią duchową, zdolna jest wyrazić nie tylko bóle, tęsknoty i niepewności, jest nie tylko głosem „klęsk i zwycięstw", ale przynosi objawienie praw. Jest niemal religijną, mistyką konsekwencji, filozofią w dźwiękach. Pomysł transpozycji melodii na pojęcia oczywiście nie nowy, a dość niebezpieczny, gdyż zawiera możliwość łatwej dowolności.

Zawieyski stosuje jednak chwyt artystyczny bardzo udany i śmiały, włączając frazę muzyczną organicznie w konstrukcję, tak, że nie stanowi ona ornamentu, ani wylewu uczuciowości, lecz oś najistotniejszej treści; poddana temu samemu rytmowi, co formuły myślowe utwierdza ciągłość pytań i odpowiedzi. Ten pomysł pozwala na użycie „najtrafniejszej przenośni" — na zamknięcie w niedokończonej melodii Henryka, która wyraża spór dwu pierwiastków: materii i ducha, wniosku przemyśleń owej Nocy: że ostatecznej odpowiedzi nie ma, nie może być, bo choć jest przeczuwana i bliska, należy już do innego wymiaru.

Maria Jarczyńska.

Kuszenie Św. Antoniego

Wystawa nowoczesnego malarstwa w Nowym Jorku

James Thrall Soby: „The Saturday Review of Literature" z 16.XI 1946.

W Nowym Jorku została ostatnio otwarta wyjątkowo ciekawa wystawa nowoczesnego malarstwa na temat „Kuszenie św. Antoniego". Do konkursu, zorganizowanego przez producentów filmowych Loew—Lewin, zostało przedstawionych 11 obrazów. Autorami ich było sześciu malarzy amerykańskich i pięciu europejskich. Konkurs odbył się w związku z realizacją filmu osnutego na „Bel Ami" de Maupassant, gdzie występuje olejny obraz „Chrystusa stąpającego po wodzie". Ponieważ cenzura filmowa zabrania ukazywania na ekranach portretów Chrystusa, przedmiot konkursu musiał z konieczności ulec zmianie. W tym wypadku jednak cenzura sprzyjała Muzom. Mało jest chyba tematów, które dawałyby więcej możliwości dla rozwinięcia efektów artystycznych, jak właśnie „Kuszenie św Antoniego".

Stosunek do wystawy cechowała powaga i dostojeństwo. Jednocześnie można powiedzieć, że wiązał się z nią pewien rys proroczy. Jasnym jest, profanacja nie leżała w zamiarach żadnego z uczestników konkursu. Przeciwnie, powaga, z jaką temat został potraktowany, przeczyła wyraźnie popularnej dziś opinii, jakoby czasy nasze odznaczały się zupełną obojętnością dla spraw religijnych.

Jury konkursu, mianując zwycięzcę konkursu, wyjaśniło, iż sąd oparty został nie tylko na samych zaletach malarskich obrazu. Wskazuje to na całkowitą zmianę hedonistycznych podstaw krytyki właściwych okresowi pomiędzy rokiem 1920 a 1930. Jeden z członków Jury podkreślił nadto, że „walory psychologiczne" obrazu odegrały bardzo ważną rolę w jego ocenie. Ten właśnie ostatni punkt chciałem rozwinąć w tym artykule.

Kuszenie św. Antoniego zostało odrębnie potraktowane w każdym z 11 obrazów. Autorami ich byli: Ivan La Lorraine Albright, Chicago; Eugene Berman, artysta pochodzenia rosyjskiego, który większą część swego życia spędził w Paryżu, a obecnie przebywa w Hollywood; Leonora Carrington, Anglia, obecnie zamieszkująca w Meksyku; Salvador Dali, Katalończyk, żyjący obecnie w St. Zjednoczonych; Paul Delvaux, Belg z Brukseli; Max Ernst, Niemiec, który zbiegł do New York'u przed reżimem Hitlera; Leonor Pini, Włoch, urodzony w Buenos Aires, który przebywał głównie w Paryżu i Rzymie; Louis Gugliemi, New York; Horace Pippin z Pensylwanii, Abraham Rattner, New York; Stanley Spencer, Anglik i Dorota Tanning, New York.

Tanning, Spencer, Albright, Dali i Dalvaux ujęli temat „Kuszenie św Antoniego" pod kątem widzenie zmysłów. Najsilniejszym wyrazem tej koncepcji jest

Kilka słów o katolikach
w Stanach Zjednoczonych

Z pośród 140.000.000 obywateli amerykańskich 25.000.000 stanowią praktykujący katolicy. Piszę praktykujący, gdyż Amerykanie bardzo wyraźnie rozdzielają ludzi wyznających swoją religię czynnie od tych, którzy są tylko „ochrzczeni", czyli reprezentują jak to się u nas mówi „metrykalnych katolików". Około 72 milionów ludzi w Stanach Zjednoczonych należy niestety do tej ostatniej grupy. Składają się na nich bądź ludzie niewierzący, bądź tacy, którzy do spraw religijnych odnoszą się obojętnie. Pozostałe 68 milionów, to praktykujący wyznawcy swoich religii. W świetle tych cyfr, widzimy, że katolicy stanowią 1/3 wierzących członków społeczeństwa amerykańskiego.

Przez długie lata pojęcie katolicyzmu identyfikowane było z Europą. Utarł się pogląd, że kultura i tradycja amerykańska jest nastawiona wrogo do religii katolickiej. Nieomal, że do początków XX wieku Stany Zjednoczone uważane były za rodzaj prowincji misjonarskiej, do której trzeba było wysyłać księży i misjonarzy co pociągało za sobą olbrzymie wydatki. Rozwijający się w Stanach katolicyzm musiał zwalczać szereg trudności. Może najważniejsza z nich wypływała z różnorodności pochodzenia obywateli tego kraju. Groziło niebezpieczeństwo rywalizacji narodowościowych, które zaostrzały się specjalnie przy wyborach władz duchownych. Z czasem kościół potrafił jednak doprowadzić do zcalenia się tych grup, do zamerykanizowania wszystkich swoich wyznawców. Aby nie stać się religią obcą musiał przystosować swoją politykę do rozwoju młodej demokracji i zostać niejako wchłonięty przez społeczeństwo amerykańskie.

Ewolucje, które przechodził kościół katolicki w Stanach Zjednoczonych, były niejednokrotnie przedmiotem surowej krytyki duchowieństwa europejskiego. Obawiano się powstania nowej „herezji amerykańskiej". W 1889 r. papież Leon XIII w liście apostolskim do kardynała Baltimore surowo potępił heretycki amerykanizm, który miał polegać na nauczaniu, że duch św. kieruje indywidualnie każdą duszą, i że kierunek duchowy kościoła staje się niepotrzebny. Zarzut ten spotkał się z głośnym protestem biskupów amerykańskich, którzy kategorycznie zaprzeczyli, ażeby podobne tendencje wyłoniły się w katolicyźmie amerykańskim. W czasie powstania pierwszych ruchów zawodowych w St. Zjednoczonych, ten sam papież rzucił klątwę na katolickich członków tej akcji. Rychło jednak przekonał się, że antyklerykalizm nie grozi wcale robotnikowi amerykańskiemu, a nie chcąc dopuścić do osłabienia ruchu katolickiego pośród mas robotniczych, uchylił klątwę. Rezultatem tego jest fakt, że do dzisiejszego dnia robotnicy amerykańscy cytują słowa encykliki papieskiej „Rerum Novarum" jako podstawę swoich praw.

Najlepszym sprawdzianem wartości rozwoju katolicyzmu w Stanach Zjednoczonych jest porównanie go z upadkiem moralnym Europy. To też od dłuższego czasu oczy Watykanu zwrócone są w kierunku Ameryki. Rzym widzi w niej najpotężniejszą przeciwwagę dla powstającej potęgi komunizmu, oraz największe ucieleśnienie ustroju demokratycznego, który zapewnia kościołowi najlepsze warunki rozwoju. Trzeba też pamiętać, że środowisko katolickie Stanów jest najbogatszym i najwydatniejszym płatnikiem na rzecz kościoła, a kraj ten stanowi najpotężniejszy rezerwuar żywności dla wygłodzonej Europy.

Czołowym przedstawicielem kościoła katolickiego w St. Zjednoczonych, jest kardynał Spellman. Przyjaźń jego z obecnym papieżem datuje się od szeregu lat. Jest to człowiek pełen energii i żywotności, a zarazem typowy przedstawiciel swojego narodu. Był on pierwszym biskupem, który zdał egzamin pilota, pierwszym arcybiskupem, który sprzedał swoją książkę Hollywood. On to właśnie uzyskuje zgodę Watykanu na wstęp dla reporterów i fotografów na wspaniałą uroczystość mianowania nowych kardynałów w Rzymie. On jest doradcą radiowym Watykanu i wygłasza przez mikrofon tłumaczenie pierwszej mowy radiowej Papieża. Jako fakt specjalnej łaski papieskiej w stosunku do Spellmana cytuje się powszechnie przekazanie nowomianowanemu kardynałowi kościoła św. Jana i Pawła w Rzymie, który był uprzednio probostwem kardynała Pacelli.

Po za kardynałem Spellman'em mają Stany Zjednoczone jeszcze dwóch kardynałów, ponad dwudziestu arcybiskupów i ponad 100 biskupów. Katolicy amerykańscy rekrutują się przeważnie z obywateli pochodzenia włoskiego, hiszpańskiego, polskiego, belgijskiego, irlandzkiego, francuskiego i części katolickiej Niemiec.

W każdym mieście amerykańskim ponad 5.000 mieszkańców znajduje się katolicka „public school" (szkoła powszechna) prowadzona przez zakonnice lub zakonników katolickich. Miasta o większej ilości mieszkańców mają również katolickie „high schools", do których uczęszcza młodzież od lat 13 do 17. Istnieje również szereg uniwersytetów katolickich, które cieszą się dużą popularnością. Wstęp na nie jest dozwolony studentom wszystkich wyznań, pierwszeństwo jednak mają katolicy.

Przy każdym kościele katolickim w Stanach znajduje się przedstawicielstwo dwóch największych świeckich organizacyj katolickich w Ameryce. Knights of Columbus dla mężczyzn i Catholic Daughters of America dla kobiet. Członkowie tych organizacyj zbierają się raz na dwa tyogdnie na wspólne dyskusje na tematy religijne i społeczne. Zebrania te otwierane są modlitwą, odmawianą przez księdza wspólnie z wiernymi. Organizacje te przewidują 6 stopni członkostwa. Uzyskanie wyższego stopnia uzależnione jest od pracy na niwie kościoła, czy też od pracy społecznej. W Stanach Zjednoczonych istnieje zakaz dla obywateli przyjmowania jakichkolwiek tytułów. Za specjalne jednak zasługi położone dla kościoła, Papież może katolickim obywatelom amerykańskim nadawać tytuł księcia czy hrabiego papieskiego, który to tytuł jest podstawą do słusznej dumy.

W podziemiach kościołów katolickich w Stanach, urządzone są duże sale, w których odbywają się różnego rodzaju zabawy dla członków katolickiego społeczeństwa, połączone zwykle ze zbiórką pieniędzy na cele kościoła.

W szkołach państwowych Stanów Zjednoczonych religja nie jest wykładem wcale. Rząd uznając prawo obywateli do wyznawania każdej religii, nie jest w stanie wprowadzić lekcji wszystkich praktykowanych przez swoich obywateli religii Natomiast nauczyciel, który wyraziłby się lekceważąco lub ujemnie o jakiejkolwiek religii, zostałby z miejsca usunięty z pracy.

Wychowanie religijne więc sprawuje po większej części rodzina i kościół. Po niedzielnej mszy odbywają się specjalne pogadanki dla dzieci. Młodzież szkolna, nawet ta, która nie uczęszcza do szkół katolickich, tworzy swoje własne katolickie kółka młodzieżowe, ten sam objaw da się zaobserwować na wyższych uczelniach.

Amerykanin, który jest członkiem czynnym kościoła katolickiego, podchodzi do spraw swojego wyznana poważnie i głęboko. Nie afiszuje się ze swoimi przekonaniami, lecz jednocześnie jest pełnowartościowym członkiem kościoła w całym tego słowa znaczeniu.

Wanda Olechowska

Życie bez dobrej modlitwy to potrawa bez soli praca bez sensu zmarnowany czas.

• Czytajcie DOBRE KSIĄŻKI • —polecamy więc gorąco każdemu

Charles'a MODLITWA NA KAŻDĄ GODZINĘ

Cena 400 zł + koszta przesyłki.

Zamówienia: Warszawa 12 skrz. poczt. 40 Tow. Przyjaciół Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Katalog na żądanie!

obraz panny Tanning. Jej piękne płótno przedstawia świętego, dręczonego przez morze nagich postaci, które według słów artystki „...powstają nawet w fałdach jego targanych przez wiatr sukien...",

Równie liczne nagie postacie znajdujemy w obrazie Spencer'a, ale tu napięcie zmysłowe zdaje się odnosić do samego artysty, niż odbijać się na stosunku świętego do kusicielek. Św. Antoni przedstawiony jest jako niewzruszony manekin, mało poruszony otaczającym go rozpętanym szałem nienaturalnych postaci.

Podczas, gdy zwycięzca konkursu Max Ernst, ukazuje kobietę, jako niemego świadka męki św. Antoniego w rękach fantastycznych kreatur, nagie postacie Albright'a rzucają fizyczny urok na świętego. Atakują go one i szarpią pośród jakiegoś straszliwego szlamu zapełnionego pełzającymi postaciami. Kształty ich są przeważnie naturalne. Natomiast zwierzęta Ernst'a są absolutnie fantastyczne. Scena ta nie wyraża wcale uwiedzenia; pokusa objawia się już teraz wyrazem skruchy, bijącej z postaci świętego: czyni on potworny wysiłek uwolnienia się z obrzydłego odmętu. Koncepcja tego obrazu jest krańcowo przeciwna temu, który stworzyła Miss Tanning. U niej uwodzicielska moc kobiety jest olbrzymia, realna i trwa bez przerwy.

Inną jeszcze wizję daje Dali, którego płótno mimo cechującej go fantazji, wykazuje jednak pewien upadek twórczy. Jest to zarzut często ostatnio stawiany temu artyście. W jego obrazie pokusa nie dotyka bezpośrednio świętego. Nadchodzi ona z oddali... Jakgdyby w „Tableau vivant" posuwa się przez pustynne piaski procesja, pędzona przez słonie o fantastycznie długich i pokręconych nogach, by naraz rozpłynąć się przed krzyżem grożącym w dłoni św. Antoniego. Już koń, prowadzący pochód, cofa się w przerażeniu i trwodze. Święty w obrazie Dali triumfuje, pełen bijącej zeń mocy. Kobiety, które uczestniczą w nieudałym kuszeniu, są ukazane na tle wyszukanych rekwizytów teatralnych. Jedna upozowała się na szczycie urny, postać innej ujęta jest w ramę portyku barokowej budowli.

Na płótnie Eugene Berman'a kobieta znika zupełnie, pozostaje tylko ornament. Nie płeć, ale sztuka wydaje się tu kusić Święty klęczy przed piedestałem rzeźby, za nim wznosi się neo-barokowy monument, pokryty dekoracyjnymi postaciami. Przyjmują one postać człowieka lub płazu, lecz wydają się raczej wyrażać dystrakcję, niż poważną groźbę dla siły wiary. Berman i Dali nie są jedynymi, u których architektura i ornament grają główną rolę. W obrazie Louis Gugliemi naga postać z zapadniętym torsem współzawodniczy w dziele kuszenia z architektonicznym obrazem miasta. Natomiast w obrazie Paul Dalvaux trzy nagie postacie, ukazujące się świętemu, występują na tle skomplikowanej inscenizacji teatralnej z końca XIX w. Postacie te, to nie światowe uwodzicielki, a symbole szczęścia małżeńskiego. Artysta opiera się na teorii Athanasiusa, że początkiem męki św. Antoniego były wspomnienia szczęścia w rodzinnym domu.

Leonora Carrington wykazała indywidualny rys dekoracyny, ubierając zarówno swego świętego, jak i jego uwodzicielkę u surrealistycznego krawca. W jego obrazie królowa Saba zbliża się powoli ku świętemu w otoczeniu swej świty. Wydaje się jednak, że więcej od osoby królowej absorbuje świętego jej suknia, do złudzenia przypominająca spadochron.

Zarówno Ernst, jak i Albright, przedstawili mękę świętego we współczesnym, fizycznym jej znaczeniu, podkreślając jednocześnie momenty walk wewnętrznych, wywołanych grą pamięci i potęgą tęsknoty.

Szczególnie Ernst, kierując się ideą przemocy urojonej, która głęboko tkwi w tradycji narodów północnych, ukazał nam św. Antoniego prześladowanego przez całkowicie nierealne bestie. Powyższy pogląd znalazł gorących zwolenników na północy w XV i XVI w., a najwyższym jego wyrazem jest św. Antoni Grunwald'a, stanowiący część ołtarza w kościele w Kolmarze. Wpływ tego dzieła na obraz Ernst'a jest bardzo wyraźny.

Całość wystawy dała niezwykłe świadectwo bogactwu dzisiejszej sztuki. Znany jest dzisiaj pogląd, że artyści malarze mogą tworzyć wyłącznie na podstawie bodźców wewnętrznych. A przecież stworzyli wspaniałe obrazy ściśle wg narzuconych im warunków. Zgoda, że temat był wyjątkowo porywający, nie daje to jednak powodu do twierdzenia, że nie znalazłoby się takich więcej. To właśnie miałem na myśli na początku tego artykułu, mówiąc, że wystawa „Kuszenie św. Antoniego" może okazać się proroczą tak, jak z pewnością jest już poważną i jedyną w swoim rodzaju **(U. S. I. S)**

Życie gospodarcze
Z ZAGADNIEŃ BIEŻĄCYCH

Stoimy w przededniu ważnych wydarzeń gospodarczych. Zanim niniejszy numer dojdzie do rąk czytelników, Rząd przypuszczalnie przedłoży Izbie Ustawodawczej projekty 3 aktów gospodarczych, a mianowicie:

1. projekt 3-letniego Planu Odbudowy Gospodarczej,

2. preliminarz budżetowy na 1947 r.,

3. projekt planu inwestycyjnego na 1947 r.

Odpowiednie Komisje Sejmowe poddadzą analizie i ocenie powyższe projekty, po czym Plenum Sejmu w drodze uchwały nada im moc ustawy, uwzględniając lub nie uwzględniając zgłoszone przez Komisję poprawki.

Zadanie parlamentu, polegające na ustaleniu podstawowych elementów polityki gospodarczej, czy to w ciągu najbliższego 3-lecia, czy to w ciągu najbliższego roku, jest niezwykle ważne i równocześnie wyjątkowo trudne.

Wagę powyższego zadania możemy ocenić, jeśli uświadomimy sobie, że wymienione projekty: 1) stwarzają warunki materialne dla realizacji określonych koncepcji politycznych, społecznych, kulturalnych i gospodarczych, 2) normują działalność gospodarczą t. zw. sektora państwowego, obejmującego obecnie olbrzymią część gospodarki narodowej, 3) decydują w dużym stopniu o sytuacji i kierunkach rozwojowych gospodarki prywatnej.

Stwierdzenie, że wymienione zadanie jest wyjątkowo trudne, wynika przede wszystkim z następujących okoliczności:

1) Polska jest krajem straszliwie zniszczonym przez działania wojenne i kilkuletnią okupację;

2) głęboka przebudowa ustroju społeczno-gospodarczego, zresztą w zasadzie niewątpliwie konieczna, stwarza dodatkowe, może doraźnie, tym niemniej poważne trudności;

3) brak stabilizacji międzynarodowych stosunków politycznych, a w szczególności definitywnego rozstrzygnięcia problemu niemieckiego nie pozwala na uruchomienie zagranicznej pomocy gospodarczej, odpowiadającej w rozmiarach i w czasie aktualnym potrzebom;

4) brak zdyscyplinowania społeczeństwa, a nadto jego słabe wyrobienie gospodarcze.

Do najistotniejszych problemów, które Parlament będzie musiał rozstrzygać, należy zaliczyć następujące:

1) podział dochodu społecznego na część inwestowaną i konsumowaną;

2) conajmniej utrzymanie w bieżącym roku przeciętnej indywidualnej stopy życiowej na obecnym poziomie;

3) sharmonizowanie elementu finansowego z elementem materiałowym, co stworzy gwarancję utrzymania we właściwych granicach wahnień wartości pieniądza;

4) koordynacja zamierzeń planowanych na rok bieżący z zamierzeniami na lata następne.

Powyższa problematyka narzuca konieczność oceny wymienionych projektów jako całości.

W związku z powyższym wydaje się rzeczą właściwą utworzenie jednej komisji gospodarczej, która by wyłoniła wprawdzie podkomisję dla trzech przedłożonych projektów, celem szczegółowej ich analizy, jednakże wypracowałaby wnioski, obejmujące całość problemu gospodarczego.

W końcu nie od rzeczy będzie nadmienić, że o efektywności prac Parlamentu na odcinku gospodarczym zadecyduje, z jednej strony zrozumienie konieczności silnego dynamizmu w naszej polityce gospodarczej, z drugiej strony jak najbardziej realistyczna, pozbawiona wszelkiego doktrynerstwa ocena aktualnej sytuacji i przewidywanych możliwości.

(I)

Czytelnik uważa, że...

W niniejszej rubryce drukować będziemy wypowiedzi i opinie naszych czytelników na wszelkie zagadnienia życia współczesnego, politycznego, społecznego, gospodarczego i kulturalnego. Wypowiedzi winny być opatrzone imieniem i nazwiskiem lub pseudonimem (w tym wypadku nazwisko winno być podane do wiadomości redakcji) oraz nazwę miejscowości. Wypowiedzi nie powinny przekraczać 50 wierszy druku.

DO REDAKCJI „DZIŚ I JUTRO"

W odpowiedzi p. Zofii Z., „wiernej czytelniczce pisma" (Nr 13).

„Jakie jest wyjście z takiej sytuacji?".

Sądzę, że zupełnie proste — spojrzeć prawdzie w oczy! I nie okłamywać siebie samej. Jeśli mąż zginął, czy zaginął i od tego czasu upłynął prawem przewidziany okres — nic nie stoi na przeszkodzie, by wejść w nowy związek małżeński. To będzie uczciwe wobec samej siebie i synów, którzy w przyszłości potrafią zrozumieć taką życiową konieczność. Powinna ona dać im oparcie i opiekę w ich wychowaniu i to jest istotny cel Pani życia piękny i wzniosły.

Przewrotne jest to, co pisze Pani o „temperamencie". Zabijanie nienarodzonych dla dogodzenia „żywotności", może być jedynie dowodem całkowitego niezrozumienia hierarchii zagadnień i słabego rozwoju sfery duchowej. Jest to typowe hołdowanie złu jedynie dla interesu, czy przyjemności, co na jedno wychodzi.

Kto spełnia taką zbrodnię, nie ma prawa mówić o matkach, które oddały swych synów ojczyźnie.

Nie wolno też w jednej płaszczyźnie stawiać zagadnienia „temperamentu" i „przyjaciela" z problemami najpoważniejszymi. Ostatecznie, jeśli jest Pani katoliczką, musi Pani rozumieć, że życie człowieka wogóle, a życie matki w szczególności wymaga bardzo często heroizmu i nie może Pani patrzeć na te sprawy w kategoriach przyjemności. Zasady moralności nie pozostawiają żadnych wątpliwości co do kwalifikacji Pani postawy. Uważam za upakarzające dla kobiety łączenie problemu potomstwa i jego przyszłości z kwesetią przyjemności czerpanej z życia erotycznego. To nie jest i nie może być pod żadnym pozorem treścią życia i dziwię się, że w ten sposób wogóle stawia Pani sprawę.

Nowych warunków nie stworzy nam nikt. Jest to nasze zadanie. Tylko my matki Polki — poprzez prawe, zgadzające się z Wolą Opatrzności zrozumienie powołania i roli, jaką współczesność wyznaczyła kobiecie Polce, możemy spełnić obowiązek udziału w odbudowie przyszłej wielkości Narodu.

Spodziewam się, iż p. Zofia Z. do stanie inne, obszerniejsze odpowiednie rady i sądy, które pouczą o właściwej drodze postępowania.

„Pelagia", Warszawa

DO REDAKCJI „DZIŚ I JUTRO"

Kobieta w konspiracji

Czytając liczne opisy przeżyć konspiracyjnych z czasów okupacji niemieckiej rzuca się w oczy rażący brak tematu „kobieta w konspiracji". Prócz kilku mniej lub więcej udanych sylwetek działaczek konspiracyjnych brak jakichkolwiek artykułów ujmujących sprawę głębiej i ogólniej. Ma się wrażenie, że jakis dziwny strach czy skrępowanie nie pozwala na poruszenie tego jedynego w swoim rodzaju tematu. Zresztą nic dziwnego. Kobieta pracująca w konspiracji w ciągu lat okupacji przeszła tak dogłębną i nieodwracalną przemianę w ciągu lat okupacji, że lepiej nie pisać o niej wcale, niż robić to źle.

Myśli te nasunęła mi recenzja z książki Zofji Dorzdz p. t. „Niewydeptane ścieżki", zamieszczona w Nr. 7 „Dziś i Jutro", a podpisana literami d. d. Autorka recenzji stwierdza, że omawiana książka przekonuje „że pomimo niezaprzeczonych walorów, jakie wniosła do partyzantki kobieta, udział jej w wędrówkach po „niewydeptanych ścieżkach" powinien by być minimalny. Że „głód, chłód, okrucieństwa walki, ciężka fizyczna praca, a gdy do tego dodać brud, wszy, życie pod gołym niebem —stworzy się obraz wojny w całej swej grozie tak bardzo nieodpowiadającej naturze kobiecej".

Nie bronię wcale kobiecości pracy kobiet w partzantce i zgadzam się zupełnie, że jakkolwiek ciężki był ten rodzaj życia nawet dla młodych i zdrowych mężczyzn, przekraczał on całkowicie wrodzone granice wytrzymałości fizycznej i psychicznej normalnej kobiety. Tymbardziej, że kobieta w partyzantce po forsownym marszu, czy bitwie, kiedy „chłopcy" kładli się spać, lub wypoczywali gdzie i jak kto mógł, musiała zabierać się do „swojej pracy", czyli gotowania, szycia, opatrywania rannych.

Ale nie o to chodzi czy w partyzantce wobec tego powinni byli być tylko mężczyźni, który to wniosek nasuwa się po przeczytaniu recenzji Pani d. d. i który został zaatakowany przez Panią Janinę Lipską w jej artykule „Kobiety w Partyzantce" umieszczonym w Nr 11 „Odrodzenia". Chodzi o zupełnie co innego.

Praca kobiety w partyzantce była w czasie okupacji jednym z wyrazów jej pracy w konspiracji, i dyskutując ją nie można ani na chwilę o tym zapominać. A w związku z tym chciałam zadać jedno pytanie?

Czy potrafi ktoś wskazać mi rodzaj pracy konspiracyjnej, która odpowiadała naturze kobiecej?

Czy całodzienna bieganina po mieście łączniczek, na piechotę, bo to jednak był najpewniejszy środek lokomocji, z pliką nielegalnej prasy w paczce, torbie, lub innych specjalnie w tym celu skonstruowanych przedmiotach, najczęściej o pustym żołądku, bo albo nie było za co, a nawet częściej poprostu nie było kiedy coś zjeść, lub dźwiganie i przenoszenie paczek z amunicją i bronią z punktu na punkt było w jakiejkolwiek proporcji do sił fizycznych kobiety?

Czy potworny, mdlący strach przy mijaniu patrolu żandarmerii na ulicy, czy też przejeżdżanie dorożką koło idącego chodnikiem wojskowego, kiedy pod nogami lub wręcz przed sobą miało się olbrzymie skrzynie z wiadomą zawartością i cały wysiłek woli koncentrowało się na opanowaniu rozdygotanych nerwów i nadaniu twarzy beztroskiego uśmiechu światowej damy, czy przekradanie się z bramy do bramy na umówiony punkt w dnie potwornych łapanek, kiedy każdy kto nie musiał wyjść siedział przezornie w domu, czy to były przeżyia na miarę sił psychicznych i nerwowych kobiety?

Czy wreszcie udzielanie mieszkań na niekończące się zebrania, przechowywanie ściganych i ukrywających się członków organizacji, urządzanie formalnych składów broni i nielegalnych wydawnictw we własnym pokoju, ciągłe zmiany adresu i papierów, wieczny niekończący się lęk o najbliższych i ostatecznie strach potworny nie przed własną śmiercią, ale przed mękami i biciem, które czekało w razie „wpadki" przypominały w czemkolwiek normalne życie kobiety.

Czy krótko mówiąc istniał dział pracy konspiracyjnej, który można było podciągnąć pod tak skądinąd śliczny obraz „strażniczki domowego ogniska" — kobiety matki i kobiety żony?

Trzeba sobie zdać sprawę z jednego; kobieta pracująca w konspiracji zupełnie świadomie i celowo wyzbywała się wszystkich cech i przywilejów swojej płci. Podkreślam — świadomie i celowo. I to jest prawda. Tak być musiało. Tego wymogała praca i walka. Była ona najpierw Polką, a dopiero gdzieś, dużo dalej — kobietą. Na każdej placówce wykonywała swoje obowiązki wspaniale, zyskiwała sobie podziw i szacunek, a przecież na zdrowy rozum biorąc robiła władnie wszystko co było absolutnie niezgodne z przyjętym pojęciem o jej przeznaczeniu, usposobieniu i co przekraczało w najoczywistszy sposób jej siły. Pracowała częstokroć dużo ciężej od mężczyzn bo poprostu była zawsze od nich słabszą.

Może dlatego że motorem życia kobiety jest miłość, a jej najwyższym wyrazem służba i ofiara tak cudownie i tak jedynie potrafiły kobiety Polski, a szczególnie kibiety Warszawy dawać swoje siły i swoje życie dla tego co ukochały najwięcej — dla Polski. Można je nazwać szalonymi, można powiedzieć, że były złemi żonami i złemi matkami, albo — albo trzeba uklęknąć i schylić czoło przed nieosiągalnym i niezrozumiałym dla kobiet tylu innych narodów poziomem ich heroizmu.

W. O.

DO REDAKCJI „DZIŚ I JUTRO"
KATOLICY ROZPROSZENI

Żyjemy w okresie dokonywania się wielkich przemian społecznych i ideowych. Prąd ten nie ominął Polski, owszem uderzył w nią silniej od innych krajów. W Polsce, dotychczas tradycyjnie katolickiej, doszły do głosu i wzięły górę idee odmienne. Katolicyzm polski stanął nagle w obliczu nowej sytuacji. Przemiany dokonały się zbyt szybko. Obecnie zaczyna powoli orientować się w sytuacji, ale nie umie narazie przyjąć odpowiedniej postawy. Najgorsze zaś to, że nie umie się zdobyć na jednolity front. Tworzą się grupy i grupki ludzi o przekonaniach katolickich, usiłują realizować swe ideały, ale że walczą osobno i na własną rękę, więc rezultat jest minimalny lub prawie żaden. Nie dość na tym. W tworzącym się obozie katolickim powstają spory i wzajemne podejrzywania. Wydaje się gazety nie tyle w celu wykazania zasad katolickich, jak raczej w celu prowadzenia polemiki i pouczania innego „rodzaju" katolików, którym się nie ufa, którym chciałoby się dać dobrą radę, by lepiej zaniechali swej działalności. Małym przykładem tego niech będzie choćby cicha, ale stała walka między grupą „Tygodnika Powszechnego" i grupą „Dziś i Jutro". Ostatnio walka ta stała się już nawet otwartą, czego dowodem są artykuły ks. Piwowarczyka i redaktora Dobraczyńskiego. Dla mnie osobiście jest to objaw nader smutny. Przebywałem dłuższy czas w Holandii i Belgii i znam nieco tamtejszych katolików oraz ich współpracę między sobą. Miejsca na kłótnie u nich nie ma, a za to budzą podziw skutki ich zgodnego współdziałania. Z polskich katolików jedni potrafią się świetnie kłócić ze sobą, inni nie mający tyle talentu pieniackiego oddają się biernej wegetacji i z podświadomą maksymą: „Jakoś tam będzie". Uważam, że dzisiejszy Polak-katolik nie może sobie pozwolić na obojętną bierność, a tym mniej na bezsensowną kłótliwość. Dzisiaj wszyscy dobrzy i świadomi katolicy w Polsce winni się zjednoczyć i w tych warunkach, w jakich się obecnie znajdują, rozpocząć działalność społeczną i polityczną, opartą na zasadach Ewangelii. W dzisiejszej Polsce nie ma miejsca, ani czasu na marzenia, lecz na czyn i to na czyn wielki, poczęty w życiu prywatnym, a przeprowadzony przez życie rodzinne, społeczne i polityczne. Czynem tym ma być stworzenie środowiska świadomie i szczerze katolickiego we wszystkich warstwach narodu. Jesteśmy w Polsce demokratycznej, więc nie możemy wyczekiwać, że katolicyzm jedynie będzie uprzywilejowany, a inne kierunki jedynie zaledwie tolerowane. Nasze stanowisko uprzywilejowane musimy sobie wywalczyć, a mamy do tego prawo i podstawy, bo przygniatająca większość narodu to katolicy. Niestety, dotąd ta większość nie jest zorganizowana i dlatego słaba, prawie bezsilna, chodząca jakby poomacku. Nie małą rolę ma do odegrania Episkopat, ale właściwą pracę wykonać muszą ludzie świeccy, trzymający się wytycznych hierarchii kścielnej. Na początku nie będzie i nie może być wszystko idealne. Lecz to nie dowodzi, że każdemu, albo każdej grupie wolno chodzić samopas i tylko czekać, aż temu drugiemu noga się pośliźnie. Takie postępowanie jest nieszlachetne i świadczy o braku zmysłu solidarności katolickiej. Wszyscy, być może, mamy dobrą wolę, lecz ta nie wystarczy, jeśli zapomnimy o przysłowiu: „Zgoda buduje, niezgoda rujnuje".

T. L.

Szanowny Panie Redaktorze!

W związku z notatką p. t. „Nareszcie!", umieszczoną w numerze 12 (69) „Dziś i Jutro", a traktującą o bojkocie, zastosowanym przez Wydział Wydawniczy „Czytelnika" w stosunku do książk: Jerzego Zawieyskiego, chciałbym powiadomić czytelników, iż Jerzy Zawieyski nie jest jedyną ofiarą tego rodzaju praktyk.

W czerwcu roku zeszłego „Czytelnik" wydrukował moją książkę p. t. „Kazania i skargi".

Do dnia dzisiejszego jednak

1) pominięto moją książkę we wszystkich niemal ogłoszeniach wydawnictw „Czytelnika",

2) nie rozesłano jej do większości księgarń,

3) nie rozesłano redakcjom egzemplarzy recenzyjnych.

Większość nakładu „Kazań i skarg" gnije w składach „Czytelnika" w Łodzi.

Zbieg aż tylu okoliczności nie pozwala przypuszczać, iż dzieje się to przez zwykłe niedbalstwo. Pozostaje dla mnie tajemnicą, kto jest odpowiedzialny za stosowanie tego bojkotu, zwłaszcza, iż mam pewność, że praktyki te nie są znane prezesowi spółdzielni.

Wszystko, co napisałem o losach swojej książki, tyczy się również wydanej w tym samym czasie książki St. J. Leca p. t. „Spacer cynika".

Łączę wyrazy poważania

Janusz Minkiewicz

SPROSTOWANIE

Wyjaśniamy, że nazwisko autora artykułu „Nietzscheańskie poza dobrem i złem", zamieszczonego w 12 (69) numerze naszego tygodnika winno brzmieć **Egon Naganowski.**

List z Paryża.

(Dokończenie ze str. 7-ej)

pojenie codziennej pracy robotnika elementami religijno-moralnymi. Wstępem do tej pracy jest dobre zrozumienie psychiki robotnika. Dlatego, kto chce pracować w „E. H.", musi przez 5 tygodni żyć życiem robotnika. Księża zdejmują sutanny i zjeżdżają do kopaln. Rozmawiałem z pewnymi dziewczętami — studentkami, które odbyły swój stage w fabryce wyrobów metalowych i opowiadały mi o tym z dumą. Wśród setek tych, którzy się szkolą w ruchu „E. H.", nie brak i studentów Polaków.

Ten entuzjazm pracy naprawdę społecznej, a nie taniego „społecznikowstwa" o zacięciu filantropijnym jest niewątpliwie pozytywną stroną nowych ruchów. Także charakterystyczną rzeczą jest „postawienie" na sprawę robotniczą.

Katolicyzm miał dotychczas metody działania wobec chłopa i wobec inteligenta. Robotnik był dla niego glebą dziką — ugorem, z którego właściwie z góry zrezygnował. Sytuacja się zmienia. Już wydany w lutym list pasterski Kardynała Paryża mówi o sprawie robotniczej, jako o sprawie najważniejszej.

Na półkach księgarskich ukazało się nowe wydanie najbardziej wstrząsającej książki Bley: „Le sang du povre". Bley— autorowi książek o nędzy — poświęca wstęp do książki o sobie Bernanos. Bez Bloy nie byłoby bowiem — niewątpliwie — „De Jean Goste" Peguya — nie byłoby nowoczesnego pojęcia nędzy. Nędzy, a nie ubóstwa, nędzy jako stanu, który zabija życie duchowe człowieka — zabija duszę człowieka. Walka o duszę jest walką z nędzą. Przenoszenie wszystkich spraw życia w dziedzinę nadziemską jest błędem. By móc się zbawiać człowiek przede wszystkim musi żyć. Primum vivere. Tu niewątpliwie „E. H." ma rację. Reszta pozostanie racją człowieka, który potrafi żyć na płaszczyźnie uświęcenia.

Jan Dobraczyński

FRASZKI

Stanisław Ostrowski

?

W „Kuźnicy" jest genialny każdy:
Kott i Rojewski, Brandys,
Hertz
(nie mieszać z tym z artz-
liche-gruppy)
— — żeby choć jeden był do...!

Spór o poetę.

Jakimiak kąsa Ildefonsa,
a Odrodzenie jaszczem głaszcze,
i w tym, prze państwa, właśnie sęk.
(ty, czytelniku, jak w teatrze,
siedzisz i ziewasz — gwiżdżesz,
klaszczesz),
A K. Ildefons forsę zbija
(z boku wtrącają, że przepija),
mówiąc do gęsi:
„ęsi, ęsi —
„Przekrój" zapłaci".
(dobrze płaci —
tak mogą tylko demokraci).
Młodość przemija, talent przemija,
Młodość talent facet przepija);
Człeka ogarnia nagły lęk —
A Przekrój płaci,
(dobrze płaci);

CODZIENNIE NOTOWANIA GIEŁDOWE, CENY WOLNORYNKOWE, PRZEGLĄD PRASY ZAGRANICZNEJ podaje „Rzeczpospolita" i „Dziennik Gospodarczy"

Redagują: Jan Dobraczyński, Bolesław Piasecki. Wydawca: Kolegium redakcyjne.
Adres Redakcji i Administracji: Marszałkowska 81 m 17, tel. 880-71. Konto P. K. O. — Nr I—727. Adres Oddziału Krakowskiego: Kurkowa 5 m. 4.
Sekretarz redakcji przyjmuje: codzień, prócz poniedziałków i sobót, godz. 12.30—13.30.
Prenumerata miesięczna 40 złotych. Kwartalna 120 złotych.
Złżono w Zakł. Graf. „Dźwignia", Widok 24. B-30036 Odbito w drukarni „Czytelnik" Nr 2, Marszałkowska 3/5.